

WIEŚ

Instytut Bałtycki
Wydział Biblioteczny
Bydgoszcz, Al. 1 Maja 48

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 15 czerwca 1947 r.

Nr 24 (103)

Julian Rataj

ANALIZA DOCHODU SPOŁECZNEGO

I. GDZIE TONIE DOCHÓD SPOŁECZNY?

Nasze obecne życie gospodarcze przebiega pod wpływem trzech najbardziej zasadniczych warunków, w stosunku do których wszystkie inne zjawiska pozostają jedynie w charakterze pochodnych, wtórnych zjawisk nacechowanych oddziaływaniem tych pierwszych. Są to: zmiany ustrojowe, terytorjalne oraz zniszczenia materialne spowodowane długoletnią okupacją i wojną których rozmiar charakteryzuje istotnie na kilka najbliższych lat nasz proces gospodarczy, jako etap odbudowy. Ostrość i ogrom tego ostatniego zjawiska natury materialnej lagodzi dobroczynny wpływ dwóch pierwszych, a więc zarówno nowych demokratycznych podstaw ustroju gospodarczo-społecznego, jak również wzrost naszych zasobów materialnych i potencjału produkcyjnego, jaki wniosły do wiana gospodarki narodowej Ziemi Odzyskane.

Gdybyśmy w tym najtrudniejszym historycznie — bo nieporównalnym z żadnym poprzednim — okresie leczenia ran gospodarczych (nie tylko zresztą gospodarczych, bo ludnościowych, kulturalnych itp.), a właściwie gruntownej odbudowy całego prawie korpusu gospodarczego kraju, nie mieli do swej dyspozycji podstawowych korzyści ogólnych płynących z przebudowy naszego ustroju oraz z przyłączenia nowych ziem, to odczuwalibyśmy daleko ostrzejszy ciężar czasów powojennych. Dla tych, którzy pamiętają długotrwały i uciążliwy okres powrotu naszego kraju do normalnego życia po pierwszej wojnie światowej — jakże niewinnej w porównaniu z ostatnią — jest widoczne bez żadnych cyfr statystycznych, że tempo teraźniejszej odbudowy gospodarczej jest znacznie szybsze, a wyniki tego procesu są oczywiście dla każdego nieurzędzonego. Po dwóch zaledwie latach niepodległego bytu państwowego zbliżamy się do przedwojennego poziomu produkcji, a w niektórych gałęziach (i to podstawowych, jak węgiel, energia elektryczna) przekroczyliśmy już ten poziom. Jest to sukces i dorobek olbrzymi dokonany wysiłkiem i ofiarnością całego świata pracy w Polsce.

Wydawałoby się według wszelkich prawideł prośego, zdrowego jak i uczonego rozsądku, że tak znaczny wzrost produkcji i masy towarowej idącej na rynek, winien być w swej dobroczynnej pełni odczuty przez tenże świat pracy, za którego sprawą zaistniał. I oto jesteśmy świadkami faktu, że rozwijająca się produkcja, wzrost wydajności pracy, podniesienie w ślad za tym płace — to wszystko nie przyczyniło się w sposób istotny, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, do polepszenia warunków bytu mas pracujących. Zjawisko to spowodował fakt nieurzędowania jeszcze jednej dziedziny życia gospodarczego, a mianowicie wymiany towarowej. Tu właśnie umiejscowił się drańszy element spekulacji, rasowy czynnik kapitalistyczny, korzystając z ustępowania ustrojowego, jakie demokratyczna gospodarka planowa uczyniła na rzecz inicjatywy prywatnej. Kapitalizm wygnany bez reszty z podstawowego ośrodka dyspozycji ustrojowej, jakim jest obecny, państwowy sektor, wyżyty z „naturalnych” praw do posiadania środków produkcji i finansów, zesrodkował całą swą zachłanność na ostatniej możliwości, jaką pozostała, choć ograniczona i nie-decydująca usrojowo, na odcinku drogi, jaką towar przebywa od produkcji do konsumenta.

2. DEZORGANIZACJA WYMIANY — OSTATNIĄ SZANSĄ KAPITALIZMU

W ustroju kapitalistycznym, gdzie posiadanie i dyspozycja środków produkcji i finansów znajduje się w rękach kapitalistów i zresztą kapitalistycznych, dziedzina wymiany była tą, w której narodziła się spółdzielczość i w której osiągnęła ona swój główny życiowy sukces. Właśnie spółdzielczość wyrosła w ustroju kapitalistycznym, będąc bronią ubogich ludzi pracy i z natury rzeczy pozbawiona znaczniejszych środków, zmuszona była rozpocząć od najbardziej dostępczej dziedziny wymiany w ambientnej i nierównej walce o sprawiedliwy us rój społeczny. I jak wierzyli niektórzy naiwni ideologowie, kooperatyzm miał wywalczyć upragniony porządek społeczny drogą opanowania handlu i spożycia.

Dopóki spółdzielczość ograniczała się do samej dziedziny wymiany i niektórych ga-

łęzi wytwórczości spożywczej, dopóty nieosiągnięty i nieodknięty kapitalizm nie interweniował, ale zawsze wtedy, gdy zamiary organizatorów i kierowników spółdzielczych kierowały się w stronę środków produkcji, wkroczał czuły w tym punkcie świat kapitalistyczny, gdyż to groziło nadwyrężeniem jego istoty. O ile w tamtym świecie spółdzielczość uzdrawiała stosunki panujące w handlu, służąc rzetelnie interesom zrzeszonych spożywców i drobnych wytwórców, hartując czystość swych metod, to dziś u nas po dokonaniu przebudowy społecznej, odcinek wspomniany opanowała w dużej mierze spekulacyjna inicjatywa prywatna, ta jej niezdrowa część, która dąży do wprowadzenia chaosu, korzystając z istniejącego stanu rzeczy, w którym spółdzielczość nie potrafiła jeszcze zaważyć pozytywnie na rynku wymiany towarowej.

Nigdy jeszcze prywatna przedsiębiorczość handlowa (i nie tylko handlowa) nie zażywała u nas takiej prosperity, nie czerpała z obrotu towarowego tak nadmiernych dochodów, jak obecnie. Na tym odcinku obnażył się w całej pełni stary, bo towarzyszący kapitalizmowi od zarania, istotny jego rys, nie-pohamowane dążenie do osiągnięcia jak największych zysków, dążenie wzmagające się w miarę osiągania coraz większych zysków. Wyszedł na jaw niedobity „homo economicus”, a właściwie homunculus, tępy i ograniczony, nierozumiejący i nie chcący rozumieć podstawowych wymogów solidarności, wyniku okresu odbudowy, ale sprytny w zakatku swoich interesów. Drożyzna towarowa, spekulacyjna gra na zwykłe cen, przerzucająca się z towaru na towar, (a więc przez to samo przeczającą podnoszącym pogłoskom o rzekomej inflacji, która obejmuje wszystkie rodzaje towarów), to jest właśnie dziło grup spekulantów, tak licznych w stosunku do całości społeczeństwa, jak nieliczne były przedtem grupy kapitalistów — przedsiębiorców przemysłowych i bankierów. I jak poprzednio kapitalizm rządzący działał dezorganizująco na rynek produkcji, zatrudnienia i plac z dyspozycyjnego ośrodka produkcji, tak dzisiaj zepchnięty do roli podrzędnej przez dezorganizację handlu i cen, podcina optyczność produkcji rolniczej i pozbawia rzesze robotnicze owoców ich pracy, obniżając wartość realną ich plac. Zmieniły się możliwości generalne, ustrojowe. Metody i cele pozostały te same.

3. USTAWY GOSPODARCZE

Oczywista jest rzeczą, że uprawianie spekulacji nie odnosi się do całego sektora inicjatywy prywatnej, lecz do pewnej jego części. I właśnie przeciwko tej grupie spekulantów zwraca się ostre ustaw przyjętych ostatnio przez Sejm, które zmierzają do unormowania stosunków w obrocie handlowym. Są to: Ustawa o zwalczaniu drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym oraz Ustawa o prowadzeniu przedsiębiorstw handlowych i wykonywaniu czynności handlowych. Dotychczasowa walka ze szkodnictwem gospodarczym nie miała do swej dyspozycji należytych środków działania. Obecnie wspomniana ustawa wyposaża instytucję Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami w osre środki w postaci możliwości wymierzania surowych kar więzienia i wysokich kar pieniężnych oraz konfiskatę mienia. Druga ustawa stanowi czynnik dający podstawę do stworzenia należytej organizacji handlu i chroniącej kupiectwo przed nieuczciwą konkurencją.

Ta grupa ustaw ma na celu skuteczną walkę z barbarzyństwem handlowym jak

również dąży do stworzenia lepszych warunków dla solidnego kupiectwa, przez koncesjonowanie przedsiębiorstw handlowych, co pozwoli usunąć dziką konkurencję drożyzny ze strony czynników spekulacyjnych, zagrażających kupcom rzetelnie wykonyującym swoje czynności zawodowe.

Przyczyną drożyzny towarowej nie są u nas ceny producenta, zarówno rolnika jak i zakładu przemysłowego, lecz wysoka marża zarobkowa, pobierana przez pośredników spekulujących do tego stopnia, że często kroć zysk pośrednika przerosł cenę towaru u producenta o 100% i więcej. W ten sposób dochodzi do absurdalnego stanu, że koszty pośrednictwa przenosi koszt wyprodukowania towaru. Rzecz jasna, że ten stan rzeczy powoduje akumulację dochodu społecznego w nadmiernej ilości u tych, którzy go nie wytwarzają, a zmniejsza sumę dochodu przypadającą przeciętnie na chłopca, robotnika, pracownika umysłowego. Cena, którą osiąga handel spekulujący przy sprzedaży produktów rolnych w mieście jest wyższa od ceny płaconej rolnikowi znacznie więcej, niż na to pozwalałaby dozwolona marża handlowa. Z drugiej strony towary przemysłowe idące na wieś są również przedmiotem spekulacji. W ten sposób dziedzina obrotu towarowego s'ala się siłą negatywną, zmieniającą podział dochodu społecznego na niekorzyść warstw ludowych: chłopów oraz licznych rzesz pracujących w zawodach pozarolniczych. I mimo rosnącej produkcji przemysłowej, rolniczej i usług mamy do czynienia ze zjawiskiem, że jednak wielkość produkcji jako zasadniczy czynnik, który decyduje o rozmiarach dochodu społecznego (i w warunkach sprawnie zorganizowanego obrotu decyduje i winien decydować w dużej mierze o podziale tego dochodu, a więc o podziale spożycia czyli o dobrobycie społeczeństwa), tej roli w zupełności nie spełnia, z powodu dezorganizacji wymiany, której funkcją społeczno-gospodarczą winna być realizacja wyników produkcji w drodze do konsumenta, a a w żadnym wypadku decydujący wpływ na dobrobyt mas.

4. BRAK DYSCYPLINY GOSPODARCZEJ

Nie tylko wysokie marże handlowe są przyczyną niezdrowych stosunków w naszym obrocie towarowym. Ważną rolę odgrywa również spekulacja towarowa na termin, która uprawia na szeroka skalę skup i ukrywanie towarów przeznaczonych na rynek. W ten sposób tworzą się w sumie ważne zapasy przetrzymywane na drodze od produkcji do konsumenta, który w ten sposób nie odczuwa dobrodziejstwa każdorazowego wzrostu masy towarowej. Szkodliwość gospodarcza tego zjawiska jest tym większa, że w obecnym okresie niedostatku towarowego każda ilość towaru winna być natychmiast rzucona na rynek, który jest jeszcze daleki od nasycenia. Dezorganizację pogłębia również zjawisko słabej dyscypliny gospodarczej naszego społeczeństwa, które jest bardzo wrażliwe na wpływ pierwszej lepszej pogłoski szeptanej propagandy rozsiewającej od czasu do czasu nieprawdopodobne bzdury gospodarcze. W takich momentach umiejętnie wzbudzonego niepokoju nieraz ma miejsce masowe wykupywanie artykułów pierwszej potrzeby przez samych konsumentów, którzy w ten sposób sami sobie oddają niedźwiedzia przyszłości, nabijając kieszenie czyhających na to spekulantów.

Do zjawisk łączących się z zagadnieniem dyscypliny gospodarczej, należy fakt omijania normalnego aparatu wymiany wzbudzającego zaufanie, omijanie spółdzielczości, co

ma miejsce zwłaszcza przy zbyciu produkcji rolnej na wsi. Sprzedaż komukolwiek bez posługiwania się odpowiednim aparatem obrotu towarowego jest jedną z ważnych przyczyn chaosu istniejącego w naszym handlu. I w tym względzie wspomniane ustawy stanowią trafnie przewidzianą podstawę do unormowania i usprawnienia wymiany wewnętrznej.

Gdy porównamy stopień zorganizowania i uporządkowania zasadniczych dziedzin naszej gospodarki narodowej, to okaże się, że produkcja górnicza i przemysłowa, finanse i komunikacja wyprzedzają daleko dziedzinę obrotu zewnętrznego, którego praktyki mogą być nieraz zaliczone do gatunku dzikich i antyspołecznych, bo nieprzebiegających w środkach metod, ale też na tym właśnie odcinku zarówno spółdzielczość jak tymbardziej nacjonalizacja ustępuje swym zasięgiem bardzo wyraźnie inicjatywie prywatnej, której gorsza część — ta spekulująca — przyczynia nam dotąd tyle trudności gospodarczych, a której działalność jest obecnie ukrywana skutecznie na podstawie wspomnianych już ustaw.

5. KONCENTRACJA ZBYTU ROLNICZEGO

Należy odnowić pole działalności dla spółdzielni zarówno w mieście, jak zwłaszcza na wsi, która spośród wszystkich ośrodków produkcji narodowej stanowi nadal najsłabiej skoncentrowaną i nieujęta w formy organizacyjne dziedziny produkcji. Nie tu jest miejsce na zajmowanie się sama samą produkcją, lecz należy podkreślić specjalną rolę jaką winna odgrywać spółdzielczość rolnicza na odcinku wymiany łączącej wieś z miastem. Ta bowiem droga najeżona jest bardziej niż kiedykolwiek zawodowymi amatorami łatwych i nadmiernych zysków, a których ofiarą pada chłop-producent, nie mogący w tym stanie rzeczy zanikować pełnego rezultatu swej mozolnej pracy. Spółdzielnia jako instytucja stojąca najbliżej mas rolniczych, winna stać się masowym środkiem praktyki gospodarczej rolnictwa. Zwłaszcza spółdzielnie gminne, pracujące bezpośrednio w środowisku czysto wiejskim, są predysponowane do roli czynnika największej aktywizacji warstwy chłopskiej, te spółdzielnie winy być naturalnym terenem chłopskiej działalności gospodarczej, zarówno w zakresie przetwórstwa płodów rolnych jak i odnośnie obrotu płodami rolnymi oraz artykułami przemysłowymi na wsi. Wszelki zbył produktów rolnych winien się odbywać przez chłopskie spółdzielnie rolnicze, które będą w stanie wyrugować dziki handel spekulacyjny. Tu jest wielkie pole działalności dla działaczy radykalnego ruchu ludowego, który ma — jak wiadomo — ogromne zasługi historyczne w krzewieniu ruchu spółdzielczego na wsi jeszcze w dawnym okresie przedwojennym; jest to ogromne zadanie organizacyjno-gospodarcze Związku Samopomocy Chłopskiej, który tak żywotowo wystartował przed dwoma zaledwie laty z koncepcją uniwersalnej spółdzielni gminnej i ma już za sobą niemały dorobek w postaci uruchomionych 2000 takich spółdzielni.

Dopiero wówczas ustawodawstwo przeciw lichwie oraz jako ochrona realnej organizacji handlu wyda pożądane owoce, skoro w sukurs pośpieszą same zainteresowane środowiska świata pracy: rzesze pracownicze miast oraz masy chłopów-producentów rolnych, które przez swoją własną organizację spółdzielczą uzdrowią chaotyczny rynek towarowy.

Państwo ludowe potrafi nie tylko ostro walczyć z negatywnymi gospodarczo zjawiskami, lecz w drodze rozumnej polityki gospodarczej daje możliwość negatywnym i szkodliwym dotąd elementom wykazywania się pozytywnym działaniem, które by pozostawało w harmonii z dziełem odbudowy kraju, jako naczelnym zadaniem narodowym doby dzisiejszej.

Dowodem tej przewidującej i planowodydaktycznej linii postępowania ze strony państwa ludowego jest dalsza Ustawa o usługach inwestycyjnych, która w zakresie gospodarczym nawiązuje do tegorocznej ustawy amnestyjnej w stosunku do podziemia politycznego i stąd jest też nazywana amnestią kapitalową, obliczoną na ujawnienie zatajonych dotąd kapitałów prywatnych, stanowiących podziemie gospodarcze.

6. RZEKOMO „POKRZYWDZENI”

Znaną jest rzeczą, że najbardziej „niewytzymałym” z punktu widzenia psychologii

ZJAZD PISARZY tygodnika „WIEŚ”

od dnia 30 czerwca do 6 lipca
w rejonie Gór Świętokrzyskich

Szczegóły w zaproszeniach i programach

gospodarczej okazał się sektor prywatny, który najłatwiej ulegał chwytom spekulacji, dając się ploszyć przy lada okazji wy magaającej odrobiny opapanowania; tam też ma miejsce pobłażliwość i daleko posunięta tolerancja w odniesieniu do zjawiska uprawiania drożyny i lichwy. Stąd też wypływa fakt, że właśnie inicjatywa prywatna unika angażowania się w proces odbudowy kraju i inwestycji gospodarczych, a najchętniej lokuje swoje środki w dziedzinie obrotu towarowego, który przynosi najwyższe i najszybsze zyski.

W porównaniu z pionierską rolą odbudowy przemysłu, komunikacji, rolnictwa i spółdzielczości zwłaszcza rolnej, inicjatywa prywatna pozostaje w roli jakby rzekomo „po krzywdzonej” i ciągle „zagrożonej” istoty, która jednak w istocie rzeczy ma się o wiele lepiej, niż inni współobywatele. W rezultacie,

zwłaszcza w spekulującej części sektora prywatnego nagromadziła się znaczna część dochodu społecznego, wypracowanego wysiłkiem ludzi pracy, wskutek czego czynnik ten dysponuje wielką siłą nabywczą nieeksploatowaną i nie wciągniętą w konstruktywne procesy odbudowy gospodarczej kraju.

„Celem skierowania kapitałów prywatnych do wzięcia udziału w gospodarczej odbudowie kraju udziela się ulg inwestycyjnych...”.

Oto proste i nieskomplikowane zdanie pierwszego artykułu ustawy, otwierającej szeroką bramę dla ruchu kapitałów prywatnych, zaproszenie do inwestycji i przedsięwzięć produkcyjnych dla całości gospodarki narodowej. Jest nadzieja, że tak realna szansa nie zostanie zmarnowana.

Do omawianej grupy ustawy mającej na celu uporządkowanie niezdrowych stosunków pantających w zakresie sektora prywatnego

należą jeszcze dalsze ustawy, stanowiące jakby logiczne uzupełnienie pierwszych; wprowadzają one społeczną kontrolę przy wymiarze i ściąganiu podatków. Odrobne przepisy nie zawierają żadnych postanowień o zwiększaniu podatków już istniejących. Sens ich polega na uporządkowaniu dziedzin wpływów podatkowych przez zgodne z prawem obciążenie podatkami tych, którzy dotąd uchylali się od płacenia, względnie byli opodatkowani niewspółmiernie nisko w stosunku do swoich możliwości płatniczych.

Jest tu zawarty postulat sprawiedliwości obciążeń podatkowych, gdyż płacący podatki solidnie byli dotychczas w gorszym położeniu w stosunku do uchylających się i ukrywających dochody, którzy za społeczne zachowanie się mieli jakby premię w postaci nieuiszczonych sum podatkowych.

Nie jest to zatem akt wymierzony przeciwko solidnym i rzetelnym jednostkom gospodarczym, lecz przeciwko spekulującej i uchylającej się od prawidłowego obciążenia części sektora prywatnego.

Postulat sprawiedliwości łączy się w tym punkcie z wymogami planowej gospodarki, która winna opierać się o sprawne działające plan finansowy, który może liczyć na trafnie przewidziane realne wpływy.

W opisanych wyżej ustawach należy widzieć przezerne ubezpieczenie realizacji Narodowego Planu Odbudowy, który przynosi i przynosić będzie realne zdołanie dla całego społeczeństwa polskiego. Szuszną więc jest rzeczą, aby od tej wielkiej pracy nie były zwolnione żadne ośrodki gospodarcze.

W ten sposób wykonywany Narodowy Plan Gospodarczy w procesie realizacji uzyska potwierdzenie swej nazwy.

Julian Rataj

Andrzej Skupień - Florek

BIAŁY DUNAJEC

Od Redakcji:

W Nr. 48 i 49 „Wsi” z roku 1946 drukowaliśmy szkic historyczny Andrzeja Skupień - Floraka pt. „Biały Dunajec”. Rozpoczęliśmy druk pełnej monografii wsi podhalańskiej na przestrzeni dwóch wieków. Autor pracy jest 4-morgowym gospodarzem parafialnym w piórem w chwałach wojnych od pracy gospodarskiej.

Korzystał z następujących źródeł:

- 1) Dokumenty archiwalne.
- 2) Materiały i zapiski Dr L. Wyrostka.
- 3) „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego” — prof. Józefa Rafacza.
- 4) Gminne akta i dokumenty znajdujące się w posiadaniu Wojciecha Stachowca z Białego Dunajca.
- 5) Usne opowiadania i zapiski własne autora.

CHARAKTERYSTYKA WSI, CIEŻARY WŁOŚCIAN W LATACH 1579 — 1769

Wies Biał Dunajec, której pierwszym prawnym założycielem był Jędrzej Pawlik (co nastąpiło w 1579 roku), leży w jednej z kotlin doliny nowotarskiej, ciągnącej się na południe ku Tatrom wzdłuż rzeki o tej samej nazwie, dokładnie: pomiędzy Nowym Targiem, a Zakopanem i obecnie liczy 7 kilometrów długości. Graniczy ona: od południa z młodszą od siebie wsią Poroninem — od północy z o wiele starszą od siebie wsią Szaflary, z której wyszedł jej założyciel. Jednakże sąsiedztwo Szaflar jest oddzielone sporą przestrzenią ornych gruntów bez zabudowań.

Przeźrzenie gruntu Białodunajczan ciągną się od domostw wsi, pasami ról do wierzchołów na wschód i na zachód. Na wschodzie graniczą z gruntami wsi częściowo Leśnicy i Glicharowa, a na zachodzie z Zubsuchem i Bańską.

W XV wieku były tu jeszcze lasy swobodnie rosnące, a ostatnia i najdalej wysunięta ku Tatrom osada ludzka była wiesz Szaflary. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku, w 1560 roku „ekspansywna” ludność wdziera się w te lasy, karząc je „wyprawia” sobie uprawne role pod zasiew owsa. Tu, właściwym ówczesnym sposobem i stylem, stawiają sobie mieszkania i budynki gospodarskie. Owo wdzieranie się ludności w te lasy i ich karzenie odbywało się za ogólnym przyzwoleniem króla ówczesnie panującego w Polsce, nie tylko bowiem nowotarszczyzna, ale całe Podhale wraz z górami Tatrami było prywatną własnością królewską, którą dzierżawili od króla dziedzicznie i dożywotnio nowotarscy starostowie. W roku 1564, na mocy uchwały sejmowej (chodziło o uzyskanie środków na utworzenie stałego wojska „kwarcianego”), odbyła się pierwsza lustracja królewskiej wsi w Polsce, i ta właśnie lustracja wymienia Biał Dunajec jako wieś nowa, gdzie wówczas zastano tam osiadłych dopiero sześciu kmieci. Od tamtej pory byli osiadłi i co to byli za jedni ci owi kmieci, nie wiadomo poza jednym Jędrzejem Pawlikiem, gdyż ludność przybyła niejako samopas nie rejestrowano; ludność, która tu szła i osadzała się, była darsza „wolnizna” i gdzie chciała, osiedlała się, zakładając nie raz pojedynczo, a z czasem parorodzinne osady. Włościanin w czasach Polski przedrozbiorowej nie stanowił takiej wielkiej wartości jak obecnie, żeby go trzeba było od razu od urodzenia rejestrować; każda zmiana miejsca pobytu do ksiąg wpisywać — w wojsku nie służył, podatków bezpośrednio nie płacił — a czynsze i inne powinności względem starosty, jakie czynione być musiały, obliczano z łanu i ról kmiecy. Obowiązek zebrania i doprowadzenia wykonania robocznego dworowi ciążył na sołtysie, a ten znał swoich kmieci jako właścicieli ról, i innych poddanych siedzących na rolach kmiecy, którzy wedle posiadanej udziały ziemi danej roli zrzucałi swoje grosze czynszu, i szli odrabiać „robocizne” dworowi jako swoja powinność. Z czasem dalsze lustracje notowały nazwiska ludzi, ale tylko kmieci, tj. właścicieli ról kmiecy. Szeregółowskie zapiski prowadziły urzędy parafialne, ale tych było na Podhale bardzo mało. Nie wszyscy też włościanie śpieszyli do tych parafialnych urzędów, ale zdarzały się częste wypadki, że duchowni (a byli to przeważnie Cystersi), idąc za osadnikami hen ku Tatrom, uczyli kulturalnej uprawy roli i innego jeszcze rzemiosła z gospodarstwem związanego, a przytem pełniłi posługi duchowe względem wiernych. Są wzmianki w kronikach parafialnych (o czym będzie osobno obszerniej mowa), że sporo rodzin tj. ołciec, matka i dzieci, tychże przyjmowali sakrament Chrztu św. gromadnie, a ci sami rodzice bezpośrednio po Chrztu przyjmowali sakrament małżeństwa.

Z tego możemy wnioskować, jak dokładny mi mogły być ówczesne ewidencje ludności, a

zwłaszcza w Nowotarszczyźnie wysuniętej na południe.

Jako najstarszych i najwcześniejszych osiadłych włościan Białego Dunajca, poza Jędrzejem Pawlikiem, sołtysiem wybranieckim, — o którym już wiedza nie tylko starosta, ale i król, ów kroniki wymieniają już w roku 1614 następujących kmieci: Fortunkę, Jagodę, Ślimaka, Lysopała i Pańszczyka. Zaś w roku 1616 wymienia się dalsze cztery nazwiska: Bałasa, Guta, Skupnia i Pizdyka. W roku 1617 przybywa: Buzek i Świder. Następnie w 1618 r. Gil i Bochunek, w roku 1619 dochodzą: Bednarz, Dzierzaga, Turlak, Floryn i Janica. Rok 1620: Sikoń i Wrzosa, a dalej, w roku 1621: Skowyrza, Strachota, Szostak, Wamczak, Mikoś, Maciata, Jucha i Jacina. W roku 1635 Biały Dunajec liczy 63 rodziny, a w roku 1650 było już tych rodzin 119, czyli w ciągu lat 15 przybyło 56 rodzin. Rok 1700 zastaje w Białym Dunajcu 199 rodzin, co oznacza przybytek 80 rodzin, na przestrzeni lat 50. W okresie następnych lat 69, tj. do roku 1769 a więc do czasu zajęcia nowotarszczyzny przez Węgrów, przybyło zaledwie 47 rodzin, tak że w roku 1769 Biały Dunajec liczył 246 rodzin. Były to rody, z małymi wyjątkami, jednorodzinne, każdy o innym nazwisku.

Wielkość dzisiejszego obszaru Białego Dunajca możemy zawdzięczać właśnie tym pierwszym rodzinom, które tu osiadły do roku 1635, wrebując się w las i „wyprawiając” sobie role dowolnie wszcz i wzdłuż, zakreślając niejako granice tej wioski; w okresie następnych lat następowało osadzanie dalszych następnych wiosek w górę ku Tatrom, jak Poronina, od wschodu Glicharowa, od zachodu Zubsuchego Bańskiej.

Role, jakie wyrabiali sobie Białodunajczanie, nie łączyły się z sobą, biegąc jedna obok drugiej (przynajmniej nie wszystkie), lecz powstawały dziko rozrzucone tu i tam, przeważnie na zboczach wzgórzeń, ze względu na suchszy teren ziemi, ponieważ dolina przez którą przepływała rzeka, była mokra, a nawet bagnista. Owe role kmiecy były odgradzane pasami rosnącego jeszcze lasu, który znowu ulegał karczowaniu przy następnym wyrobieniu dalszej roli, przez późniejszą przybyłych kmieci, których osadzał sołtys, czyniąc ich prawnymi właścicielami łak i pierwszych. A wszystkie powstałe role zostawały nazwane nazwiskiem swojego właściciela — kmiecia. Pierwotne nazwy niektórych ról przetrwały do dziś, a to dzięki temu, że rody pierwotnych ich właścicieli żyją, a z nimi zachowało się nazwisko pierwszego kmiecia.

Poza „łanem rolę” ziemi, będącej własnością wybranieckiego sołtysa, a zarazem i szlachcica Pawlikowskiego Wojciecha, miał Biały Dunajec ról kmiecy — 24, co stwierdza dokument z przeprowadzonej lustracji wsi starostwa nowotarskiego w roku 1767. Była to ostatnia lustracja królewskiej wsi w Polsce przez jej rozbiórami. Wówczas role te były własnością następujących kmieci: 1. Szymon Gil — 1618 r.; 2. Bartłomiej Sikoń — 1620 r.; 3. Wojciech Buzek — 1617 r.; 4. Jakub Bańsa — 1640 r.; 5. Jan Bałasiak — 1616 r.; 6. Józef Jagoda — 1614 r.; 7. Marcin Fortunka — 1614 r.; 8. Jan Pańszczyk — 1614 r.; 9. Jędrzej Spólnik — 1639 r.; 10. Józef Gut — 1616 r.; 11. Michał Janica — 1619 r.; 12. Wojciech Janica — 1634 r.; 13. Straczek z Pudlakiem — 1648 r.; 14. Sobestian Pańszczyków — 1640; 15. Szymon Gutt — 1640 r.; 16. Szymon Dzierzaga — 1619 r.; 17. Łukasz Ślimak — 1614 r.; 18. Marcin Graca — 1631 r.; 19. Jakub Sieczka — 1627; 20. Jan Maciata — 1621 r.; 21. Jan Skupień — 1616 r.; 22. Ostroś Strachota — 1621 r.; 23. Stanisław Świder — 1617 r.; 24. Świder z Tataraka — 1638 r. oraz Jan sołtysa wybranieckiego Wojciecha Pawlikowskiego szlachcica — 1579. Liczby za nazwiskami wymienionych właścicieli ról oznaczają rok, od którego prawdopodobnie owe role istnieją; a porządek kolejny tychże ról podałem w tym układzie, jak one następują kolejno po sobie od strony Szaflar z tym, że Jan sołtys znajduje się pomiędzy 1szą a 2gą rolą Szymona Gila a Bartłomieja Sikonka.

Poza tymi kmiecymi rolami niektórzy właściciele mieli jeszcze gdzie indziej swoje własności gruntowe. I tak: kmieć Jan Skupień miał właścicielem roli oznaczonej liczbą 21, miał pół zarebka Stołowe, wcześniej wyprawionej niżeli sama rola, a mając podoste dzieci rozsiedlił się na dwie tak że jedni pozostali na zarebku, a drudzy poszli wyprawili sobie role w dolinę wsi, gdzie osiedlili się — ten sam Jan Skupień był właścicielem hali Kopieniec Male i polany Olczyzko w Tatrach oraz na samym Podtatrzu jednej drugiej zarebka Kulbasówki, który sobie zapospodarzył na uprawną rolę częściową, a częściowo miał na wypas bydła.

Zaś Pańszczykowie, właściciele ról — liczba: 10 i 16, byli właścicielami jednej czwartej zarebka „Paleniec” na Podtatrzu w górach, oraz jednej czwartej zarebka „Pańszczykówki” w Tatrach.

Kmiecie: Świder z Tataraka, właściciele jednej roli — liczba 24 — byli posiadaczami polany „Świderówka”, znajdujące się przy półzarebku Stołowe w granicach wsi swojej. Zaś włościanin Furtak, jako chałupnik, posiadał jedną czwartą zarebka „Furtakówka” pod Tatrami.

Polanie Błociska położoną pod Tatrami obok Małego Cichego, posiadali Murzańscy sołtysi, krewni Pawlika, sołtysa wybranieckiego Białodunajskiego. Jednej czwartej zarebka Gilówka właścicielami byli: Gil i Bańsa, zaś całego jednego zarebka byli właścicielami: Cipka i Gil.

Dalsze inne przynależności Białodunajckiego sołectwa w górach, jakie otrzymali wybranieccy sołtysi Pawlikowie od królów polskich: Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego, jak polane Ciche z Tatarsówka; góry wolne, lasy i hale pod mianem: „Jaworzyna”, „Zgorzeliska” i Poroniec wzdłuż potoku zwanego Poroniec (obecnie „Cichą wodą”), w skład którego wchodzi dzisiejsze: „Nosal”, „Wysoka”, „pod Kurtką”, „Dudowa Pasiaka”, „Zadnia”, „Wierch Poroniec”, „Brzanówka”, „Wiktorówka”, oraz po drugiej stronie potoku na zachód położone hale zwane „Kopami” — sołtysi zachowali na wyłączną swoją własność użytkową i swojej rodziny. Do tych włościan wymienionych wyżej należała cała wieś w roku 1767 wraz z terenami położonymi w górach. Widzimy, że około 30 rodzin było prawnymi właścicielami jako kmiecie, a w tym i sołtys ze swoim „łanem rolę” ziemi.

A czymże była ta reszta rodzin włościan poza wymienionymi, skoro Biały Dunajec w tym roku liczył rodzin razem z wymienionymi 246? — Otóż włościanie w owym czasie dzielili się na kategorie: zarebników czyli półrolników, jako druga kategoria po kmieciach trzecia kategoria to zagrodnicy, którzy siedzieli na zagrodach różnej wielkości; nosili też oni miano chałupników z tego powodu, że posiadali chałupy z niewielką ilością gruntu 1/4 — 1/8 zagrody. Czwarta kategoria to komornicy, którzy nie posiadali ani ról, ani zagrod z chałupami, tylko zwyczajnie mieszkali w domach rolników — kmieci. Przeważnie byli to starzy kmieci i ich żony kmiotki, którzy na swoje stare lata oddawali swoje gospodarstwa własnym dzieciom z wymówieniem dla siebie kąt w chałupie i parę stajni gruntu na swoje wyżywienie.

Tak też było i w Białym Dunajcu zwłaszcza w latach 1660 do 1767, w którym to czasie występowały wszystkie kategorie włościan, a więc: 1. kmiecie, 2. zarebnicy tzn. półrolnicy; 3. zagrodnicy czyli chałupnicy oraz 4. komornicy.

Jednakże w roku 1767 istniał w Białym Dunajcu tylko jeden zarebek, reszta bowiem zarebki przez dalsze wykarczowanie przylegającego do zarebka lasu, uzyskała wielkość roli i w ten sposób niektóre zarebki stały się rolami. Tak że po za 24m kmieciami, reszta rodzin, to chałupnicy i komornicy. Jedyny zarebek, jaki istniał w roku 1767, był własnością dwóch włościan, których lustracja wymienia, — nie wiadomo tylko czy obaj, czy jeden z nich, byli półrolnikami. Ówczesna rola liczyła obszar około 70—100 morgi ziemi, więc sądząc po dzisiejszemu możemy powiedzieć, że ówczesni gospodarze — chłopcy mieli ziemi poddostatkiem, w stosunku do zaludnienia wsi liczącej 246 rodzin. A jednak życie ich nie było łatwe i mimo dostatku ziemi używanej ciężko było żyć. Zważywszy jak duże ciężary spoczywały na nich.

CIEŻARY Kmieci I INNYCH Poddanych.

Za prawo „posiadania” tych ról przez owych kmieci, tak w Białym Dunajcu jak i w całej królewskiej wsi oraz za ich używanie, musieli poddani ponosić nierzalmsze ciężary i powinności względem dzierżawców Nowotarszczyzny — starosty i jego dworu, tak w mieście Nowym Targu, jak i w wsi Szaflary. Były to różne daniny, czynsze i robocizna, które w pewnych okresach czasu były większe lub mniejsze, zależnie od woli i chęciwości każdego starosty.

A więc robocizna, jaką musiano wykonywać na folwarku Szaflarskim, początkowo wynosiła 12 dni do roku z ról, w tym 6 dni pieszych a 6 dni bydlęm. Natomiast starosta Mikolaj Komorowski, który był prawdziwym ciemiężcą dla poddanych, wygórował ciężary robocizny, że wynosiła ona 3 dni tygodniowo z ról, a w jakiś czas wygórował on swoje żądania na 4 dni tygodniowo z roli roboc-

ziny rozłożonej na 3 dni bydlęm, a czwarty pieszo, zaś w zimie 3 dni bydlęm. Z biegiem czasu zostaje ciężar robocizny pomniejszony do 3 dni tygodniowo z roli — 2 dni bydlęm i jeden pieszo, o czym wspominają dokumenty lustracyjne z roku 1660. Zaś lustracja z roku 1767 wykazuje na folwarku w Szaflarach robocizne wykonywana z roli kmiecy 20 dni w roku — 10 dni bydlęm i 10 dni pieszo. Następnie ciężary kmieci, to dan dwóch korcy owsa z jednej roli kmiecy rocznie i dan dwóch kóp gontów, jednej lub dwu (zależnie od wielkości roli) desek oraz po jednym bierwionie; oddawania rocznie 4 łokcie przedzy, a mniejsze role 3 łokcie 18 pasm i 10 nici z roli; następnie jako piąty rodzaj ciężaru, to danina jednej gęsi i dwu kur rocznie z roli. Bywali nawet tacy starostowie, którzy domagali się większej liczby sztuk ptactwa, co wywoływało wśród poddanych sprzeciw i niepokój. Szóste to płacenie czynszów z każdej roli rocznie począwszy od 30 złotych 24 groszy aż do 40 złotych 22 groszy i denarów zależnie od wielkości roli, a Szymon Gil ze swojej roli płacił nawet 45 złotych. Dla zorientowania się co do wartości pieniądza ówczesnego złoto przyladujemy się również ówczesnym cenom owsa i wartości dniówkowej pracy: korzec owsa liczone 3 zł, łokieć przedzy 20 gr., dzień koszenia 15 gr., dzień grabienia 10 gr., jeden dzień orki 2 zł 20 gr., a bronowanie 1 zł 10 gr. Widzimy stąd, że 40 zł czynszu czy nawet 30 nie było wcale lekką powinnością, jakby się nam to wydawało. Oprócz tych ciężarów, już wymienionych powyżej, ciążył jeszcze na kmieciach obowiązek dowożenia do dworu z lasów tatrzańskich 4 fur drewna owałowego, 2 tramów, tzn. grubych kłoców budnica do roku z jednej roli kmiecy.

Ciężarem, jaki musieli ponosić chałupnicy, była robocizna piesza i wynosiła dwa dni tygodniowo, gęsi i kur oddawali o połowę mniej niż kmiecie, a przedzy dawali 4 łokcie 4 pasm i 15 nici. Komornicy zaś odrabiali robocizne 6 dni w roku i przedzy 2 łokcie przedzy z dworskiego łanu i na dworskiej strawie. A teraz ciężary właścicieli jednego zarebka i polan były następujące: Cipka — Gil ze zarebka odrabiała 6 dni pieszych i czynszu dają 22 zł rocznie, półzarebka „Stołowe” daje Jan Skupień 5 pasm nici i czynszu 30 zł, jedna druga zarebka polany „Kulbasówki” daje Jan Skupień 18 zł, hale „Kopieniec Male”, „Polana Olczyzko” Jan Skupień 34 zł; jedna czwarta zarebka polany „Furtakówka” czynszu daje Furlak 12 złotych, jedna czwarta polany „Gilówka” czynszu daje Gil i Bańsa 22 zł; jedna czwarta polany „Paleniec” daje Pańszczykowie 23 zł czynszu; jedna czwarta polany „Pańszczykówka” daje czynszu Mikolaj Pańszczyk 8 zł z polany „Świderówka” czynszu daje Świder z Tataraka 10 zł, z polany Błociska Murzańscy sołtysi dają czynszu 52 zł.

Poza tymi ciężarami i powinnościami ponoszonymi przez poszczególnych włościan indywidualnie, istniał ogólny ciężar na całej wsi jako roczny procent ponoszony przez wszystkich zamieszkałych w Białym Dunajcu włościan. I tak, jako robocizna roczna: 72 dni orki, 72 dni bronowania, 75 dni kosić, 75 dni grabić, następnie roczny dowóz 47 szt. tramów 47 kóp gontów, 47 szt. bierwion jak dan i 44 szt. limbowych desek oraz 85 łokci przedzy, a nadto 48 korcy owsa. Poza tym na całej wsi ciążył obowiązek „podróży” tzn. wyjazdy ze zborem dworskim w dalsze okolice Rzeczypospolitej oraz przywiezienie kamieni młynskich do młynów skarbowych, których w Białym Dunajcu było dwa (skoro lustracja z roku 1767 wymieniając starościńskich młyn mówi: „dwa koła wodne i dwa kamienie młeczne, które dzierżawi Stanisław Wyrwa dając czynszu 148 złotych”).

Dalej wieś ma obowiązek dostarczenia do dworu w Nowym Targu trzech pacholków, tzn. sług rocznie oraz odstąpienie okolkem (kolejno) stróż do folwarku, a przed tym i do zamku w Szaflarach po 8 ludzi dziennie. Obowiązkiem stróż było stawić się jeszcze przed zachodem słońca we dworze, gdzie musieli obsłużyć bydło, a więc nakarmić, napojeć i krowy wydoić i oczyścić a potem nocą stróżować wokół dworu strzegąc od napadu zbrojeckiego i rabunku. Rano ta sama praca około dobytku, a potem powrót do domów. Drugiego dnia o tej samej porze przychodzą nowi ludzie, wykonują te same czynności i tak w kółko. Stróż pełnący musieli być ludźmi dorosłymi, nieletnich do stróżu wcale nie przyjmowano. Stróża nie była przyjemnym obowiązkiem, gdyż rządzący dworu często za błahę niedokładności odliczali po 20 kijów na północną stronę ciała, co powodowało skargi aż u króla.

(D. c. n.)



Przykład samorzutnej odbudowy wsi

Edward Ciborowski

Architektura wsi^{*)}

W ostatnich tygodniach r. 1946 ukazała się w druku praca inż. arch. Stefana Tworowskiego „Architektura wsi”.

Sądząc z przedmowy — od autora — datowanej wiosną 1945 — praca ta wówczas została ukończona — a powstała — podczas okupacji niemieckiej.

Powstała więc w warunkach, gdy mieszyć trudno było i o materiały źródłowe i dokumentacyjne i o atmosferę usposabiającą do spokojnych systematycznych rozważań.

Istotnie praca inż. Tworowskiego jest dokumentem wagi pierwszorzędnej. Dokumentem niepokoju i zrywów tak charakterystycznych dla okresu okupacji i prac konspiracyjnych podczas okupacji niemieckiej prowadzonych.

Dokumentem również świadomej woli, by rzeczywistość po-kupacyjną jak najrychlej ogarnąć i możliwie przygotować podstawy do realizacji pewnego światopoglądu i pewnego programu w tej nowej rzeczywistości.

Pracę swoją inż. Tworowski zakwalifikował jako „materiały do dyskusji”.

Wachlarz tematyki w pracy inż. Tworowskiego jest rozległy. Porusza on nie tylko zagadnienia budownictwa, architektury, planistyki na wsi, — zagadnienia kształtowania krajobrazu z punktu widzenia artysty plastyka, lecz i zagadnienia fizjografii, demografii, ekonomiki, socjologii, historii stosunków wiejskich, — kształtowania się życia ludności wiejskiej w ogóle.

Podejmuję tutaj próbę sformułowania (wcale nie wyczerpujących) paru zupełnie ogólnych uwag, jakie nasuwają się przy czytaniu pracy inż. Tworowskiego — ekonomicznie zajmującemu się zagadnieniami wiejskimi, szczególnie zagadnieniami agrarnymi.

I. Praca inż. Tworowskiego „Architektura wsi” — „pragnie choć szkicowo wyczerpać temat” (str. 13).

Jaki temat? — panie inżynierze? Architektury — wsi?

Czy wolno mi jako laikowi w sprawach architektury w ogóle — w szczególności wiejskiej postawić parę pytań?

A więc: Czy istotnie „właściwym dziełem architekta jest dom” (str. 19) — i tylko?

A budynek inwentarski, stodoła, spichlerz, kuźnia, studnia, gnojownia i t. d., i t. d. — nie mogą być dziełem architekta?

Kwestii domu mieszkalnego poświęca autor omawianej pracy bardzo dużo uwagi i dużo stosunkowo miejsca (str. 44 — str. 99 włącznie) — 55 stron. W rozdziale o zagrodzie — również mówi przede wszystkim o domu mieszkalnym.

Conajmniej 1/3 całej książki traktuje o tym zagadnieniu.

O „części gospodarczej zagrody” zaledwie znajdujemy krótką wzmiankę (str. 41 i następną) w „Architekturze wsi” — w rozdziale „zagroda”.

Nie mógłbym się zgodzić z takim postawieniem sprawy.

Wprawdzie dom mieszkalny na wsi — dla rodziny chłopskiej jest zasadniczym zagadnieniem, ale przecież — cały zespół stosunków gospodarczych w gospodarstwie wiejskim — warunku stopień inwestycji w kapitale budowlanym gospodarstwa, a budynek mieszkalny jest tylko jednym z elementów tego kapitału.

Kwestii domu mieszkalnego w gospodarstwie rolnym pod żadnym względem nie da się rozwiązać w oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej — gospodarstwa, dla którego dom ma być projektowany.

Rozumiem — kultura, higiena, minimum powierzchni użytkowej na jednego mieszkańca, ba i plastyka — są to sprawy bardzo istotne, — ale planista i projektujący osiedla wiejskie i zespół budynków w zagrodzie i projektujący dom mieszkalny — nie mogą się oderwać od konkretnej (czy postulowanej) rzeczywistości gospodarczej, gdyż — inaczej cała jego praca będzie miała charakter wyłącznie teoretyczny.

Reasumując:

W moim rozumieniu — nie ma nawet szkicowego wyczerpania tematu architektury wsi — gdy się pomija kwestię architektury „części gospodarczej zagrody”.

Bardzo interesująca praca inż. Tworowskiego w 1/3 poświęcona tematowi domu mieszkalnego, w 1/3 tematowi planowania wiejskiego, w pozostałej 1/3 zawierająca materiał ogólny i informacyjny — Architektura wsi w szerszym rozumieniu tego pojęcia nie jest.

II. Pisze inż. Tworowski — że „część gospodarcza zagrody stoi najbardziej pod znakiem zapytania, duża jest bowiem rozpiętość między skromniejszym programem zagrody w gospodarce uspołecznionej, a programem jednostki w pełni samowystarczającej” (str. 41, 42).

Przepraszam, nie rozumiem przeciwstawienia gospodarki uspołecznionej i samowystarczającej.

Gospodarce uspołecznionej możemy przeciwstawić gospodarkę nieuspołecznioną — indywidualną, opartą na inicjatywie prywatnej właściciela lub kierownika; — samowystarczającej t. zn. zaspakajającej w własnym zakresie wszystkie potrzeby — niesamowystarczającą i t. d.



Odbudowa prowizoryczna

Pisze inż. Tworowski (str. 13): „przede wszystkim nieznaną nam jest bliżej ustrój gospodarczy, przyjmując tu jednak z góry, iż oprze się on o spółdzielczość wytwórców, a więc także i wytwórców rolnych”.

Pisze inż. Tworowski (str. 14) „i tak w chwili obecnej wieś dojrzała już do poważnych przemian społecznych i gospodarczych”.

W ogóle jednym jakgdyby z podstawowych założeń pracy inż. Tworowskiego jest teza o nasilaniu wśród gospodarstw drobnych stanowiących obecnie i w okresie pisania o mawianej pracy przez inż. Tworowskiego, prywatną własność posiadaczy — elementu uspołecznienia. Przyczyną wizja uspołecznienia gospodarki rolnej u inż. Tworowskiego — na szybkim koniu jedzie.

Już nawet dom mieszkalny projektuje inż. Tworowski bez „wielkiego pieca chlebowego” — gdyż „w niedalekiej przyszłości wieś zaopatrzona będzie w chleb przez piekarnię

spółdzielczą” (str. 51) i „przewidujemy rozpośczenie pralni społecznych” (str. 52).

A cóż za tempo!

Zgoda, że nieograniczona prywatna własność w gospodarstwach rolnych, że nieskrępowany indywidualizm w tychże gospodarstwach przechodzi do historii. Ze spółdzielczość odegra wśród tych gospodarstw wielką i reorganizującą rolę, że uspołecznienie produkcji rolnej w typie — produkcji wielkiej nie jest tematem, którego nie należy rozważać i dyskutować. Ale daleko, daleko to jeszcze od dostawy chleba na wieś przez spółdzielczą piekarnię i od prania chłopskich gaci w pralni społecznej.

Dużo wody w Wiśle upłynie — zanim dojdziemy do uspołecznienia tak elementarnych funkcji.

I myślę, że jednak przy projektowaniu domu mieszkalnego dla chłopskiej rodziny na wsi należałoby jeszcze na jakiś czas pozostawić i piec chlebowy i pomieszczenie na pranie indywidualne.

III. Miałbym również poważne zastrzeżenie jeśli chodzi o wstępne zupełnie ogólne uwagi do poszczególnych rozdziałów jak np. do rozdziału „osiedle” (str. 100) i do rozdziału „dom w krajobrazie” (str. 86), i t. p.

Zawarte w tych uwagach uogólnienia i skróty historyczne są daleko idącym uproszczeniem rozumienia historii rozwoju człowieka, osiedli ludzkich i t. d. Dla książki inż. Tworowskiego sprawy te jednak większego znaczenia nie mają.

Ma natomiast zupełnie istotne znaczenie używana nie dość ściśle terminologia.

Samo pojęcie architektury nie dość precyzyjnie wypada. Z tekstu nie bardzo jasno wynika gdzie się kończy budownictwo a zaczyna architektura, zaczyna planistyka.

To samo dotyczy np. pojęć: zagroda, siedlisko, osiedle.

Wydaje się, że pomimo istnienia — rozległego „Słownika Języka Polskiego” — pojęcia z zakresu planistyki nie są dość ściśle sprecyzowane w ogóle.

Sądzić by można, że kwestia ustalenia terminologii powszechnie i jednakowo przez planistów rozumianej — jest sprawą, która wymaga większej pracy i dłuższego czasu.

IV. I uwaga ostatnia.

Pomimo zastrzeżeń, jakie ze stanowiska ekonomisty nasuwają się w stosunku do pracy inż. arch. Tworowskiego „Architektura wsi”, ogólnie stwierdzić muszę:

Książka inż. Tworowskiego jest pełna niepokoju, pełna dynamizmu, pełna dążeń do zrozumienia potrzeb wsi i pełna troski o znalezienie środków i form zaspokojenia tych potrzeb.

I jest to jedna z zasadniczych cech charakterystycznych tej książki.

A druga.

Książka inż. Tworowskiego jest pełna planistyki. Gdy inż. Tworowski dobiera materiały, by zaprojektować dom mieszkalny, gdy poszukuje harmonii tych materiałów i całej kompozycji z otoczeniem, gdy zagrodę „wta-pia” w osiedle, a osiedle w krajobraz, gdy dobiera barwy i poszukuje form dla drzew jak mówi „dzikich” i innych, gdy kształtuje przestrzennie ośrodek w osiedlu wiejskim i zespala go z całym osiedlem — daje czytającemu cały szereg obrazów przemawiających do wyobraźni i zmusza go do poddania się określonej nastrojowości.

Tak pracuje człowiek objęty „potężnym prądem twórczym”.

Za autorem powtórzyc by można: „gdy przez cały kraj przejdzie potężny prąd twórczy, nie będzie przeszkod których byśmy nie pokonali” (str. 151).

Wacław Szymanowski

Przed nowym rokiem akademickim

Musimy dzisiaj wciąż pamiętać, że pod słowem „społeczeństwo” nie rozumiemy już, jak to bywało w latach międzywojennych, jakiejś elity, czy grupki w narodzie, ale ogół ludzi pracujących i żyjących ze swojej pracy — dlatego nie może być u nas żadnych wyseppek choćby najbardziej szanowanych, które by mogły dalej żyć swoim własnym życiem i uchylać się od kontroli społecznej. Takimi wysepkami ściśle odgródzonymi od szerokich mas pracujących narodu były nasze wyższe uczelnie i dla własnego dobra, jak też i całego narodu stan ten będzie musiał ulec zmianie, przez stopniowe coraz większe dopuszczanie czynnika społecznego do kontroli różnych dziedzin życia w ich murach. Nie trzeba przecież powtarzać, jak ważnym jest zdemokratyzowanie wyższych uczelni, przez dopuszczenie na prawdziwych mas młodzieży chłopskiej, robotniczej i ze sfer inteligencji pracującej.

Czyż wobec konieczności stosowania egzaminów konkursowych na pewnych wydziałach, z powodu braku miejsc, nie jest wskazanym udział w komisjach kwalifikacyjnych także i czynnika społecznego? Przecież przy mechanicznym kwalifikowaniu studentów, tylko na zasadzie wyników egzaminu, będziemy automatycznie faworyzować tę część młodzieży, której stan materialny rodziców pozwolił na lepsze przygotowanie i nie stworzymy napewno warunków równego startu życiowego przy którym mają decydować wyłącznie: zdolności i pracowitość. Jeśli przyjąć, że wśród egzaminowanych około 10% wykazuje na zasadzie doskonałych wyników niewątpliwie inteligencję i zdolności do przyszłej nauki, choć i to należy traktować ostrożnie, pamiętając zawsze o pierwszeństwie dzieł mas pracujących, a drugie 10—15% oczywiście brak zdolności, to mamy w pierwszym wypadku wielką liczbę kandydatów z których wybór jest bardzo trudny, gdyż ich kwalifikacje naukowe mało się różnią od siebie.

I w tych wypadkach powinni występować przedstawiciele społeczeństwa, orientujący się lepiej w środowisku społecznym kandydata od profesorów, którzy zwracają uwagę raczej na stronę inteligencji i przygotowania. Czynniki społeczny wyrównywałyby tu niesprawiedliwość nierównego startu z powodów materialnych i przyczyniłoby się tym do tego, że młodzież wyższych uczelni naprawdę byłaby najlepszym i najzdolniejszym reprezentantem całej młodzieży polskiej, a nie tylko nielicznej bogatszej grupy w narodzie. Udział taki przedstawicieli społeczeństwa zapewni młodzież chłopską, robotniczą i z inteligencji pracującej, dla której bramy wyższych uczelni pozostałyby jeszcze zamknięte, że był w komisjach kwalifikacyjnych czynnik, który stał w obronie jej pragnień wyższych studiów jako pragnień całego środowiska, który wagiłby o wynik egzaminów nie tylko mechanicznie, i kontrolował niepożądane protekcje. Będzie ona miała także to poczucie, że proces awansu społecznego młodzieży chłopsko-robotniczej idzie ciągle naprzód i że klasy te dotąd upośledzone będą miały rosnący wpływ na kształtowanie się życia zawodowego, naukowego i kulturalnego całego narodu.

Jest jeszcze jedna dziedzina w życiu wyższych uczelni, w której czynnik społeczny mógłby mieć znaczny i dobroczynny wpływ. Tą dziedziną są bursy i domy akademickie, które w Polsce ludowej powinny coraz bardziej rosnąć w liczbach i jakości. I tutaj kontrola tych burs i domów studenckich, walka z przerosłymi biurokratycznymi administracjami, dbałość o rozwijanie społecznego i kulturalnego życia młodzieży, stanowią szerokie pole działania, które w rezultacie pogłębiliby więzy tej młodzieży szkół wyższych ze społeczeństwem i także dałoby poczucie, że studia wyższe nie tylko nie powinny jej odrywać od szerokiej mas narodu, ale że przeciwnie, wzmacniają one i pogłębiają więzy przynależności do mas pracujących.

Oczywiście krytycy nasi powiedzą, że dopuszczenie czynnika społecznego do szkół wyższych godzi w tradycyjną autonomię uczelni. Jak wspominałem na wstępie nie może już być wyseppek żadnego rodzaju w naszym życiu narodowym. Utrzymywanie fikcji samodzielnich, średniowiecznych, małych republik w Państwie, dysponujących sobą, bez głębszego wglądu w dobro ogółu i bez większej znajomości potrzeb całego narodu, jak też i zainteresowania tymi potrzebami, jest takim samym anachronizmem w wieku lotnictwa i bomby atomowej, jak pewne rozważania filozoficzno-scholastyczne. I wreszcie społeczeństwo ma chyba prawo wglądu i kontroli w tych instytucjach, które samo finansuje. Wprowadzając taką kontrolę społeczną uczelni — społeczeństwo będzie mogło domagać się także od swej młodzieży jak najpoważniejszego traktowania wyższych studiów i będzie mogło żądać wprowadzenia jak najostrożniejszej selekcji na wyższych latach, celem ustawicznego podwyższania poziomu naukowego.

Wówczas nareszcie będziemy mogli odkryć skarby talentów i zdolności ukrytych dotychczas w warstwach chłopsko-robotniczych narodu i zapewnić im należyty rozwój w naszym kraju, dla ogólnego dobra.

*) Tworowski Stefan — Architektura wsi — materiały do dyskusji 1945. Czytelnik. Spółdzielnia Wydawnicza. Str. 159.

W numerze 26 „Wsi” - wyniki Konkursu na sztukę dla teatru ludowego

Tadeusz Seweryn

STRÓJ LUDOWY W POLSCE

Od Redakcji:

Fragm. referatu prof. Tadeusza Seweryna ma dwie płaszczyzny: część faktyczną rzeczowa zaciękawia jako narracja i interesujący zbiór anegdot dotyczących ochrony stroju ludowego; część druga przedstawiająca komentarz etnografa-miłośnika ludowości jest dyskusyjna i może budzić zrozumiałe zastrzeżenia.

Przesuwa się ona poprzez obszerny zresztą referat jako uzasadnienie nie też naukowych, ale tendencji w dużym stopniu emocjonalnych i dotyczących gustów estetycznych, nie wartości. Dlatego właśnie dopuszcza dyskusję.

Autor uprzedzając możliwe zarzuty przytacza na wstępie racje przeciwników utrzymania stroju ludowego — obrońców rzekomej jednolitości kulturowej państwa, postępu cywilizacyjnego, równości społecznej, praktyczności i taniości ubioru fabrycznego. Zbija te poglądy i przechodzi z kolei do omówienia metod ochrony ludowego stroju, którego zanikanie uważa za objaw chorobliwy, wymagający zastosowania środków leczniczych i profilaktycznych.

Zekłaniamy część referatu najbardziej obiektywną — nie godząc się z tendencją autora — znakomitego zresztą znawcy przedmiotu.

Wysiłki zmierzające do utrzymania pewnej wartości ludu związane z jego sytuacją historyczną są charakterystycznym objawem oporu kulturowego, którego aspekt polityczny i społeczny nie musi być przecież wsteczny. Działalność kulturalna tego typu propaguje pewne emocje i gusty estetyczne — które będąc w niezgodzie z dążeniami praktyki życiowej i mody noszą silne piętno sentymentalizmu.

Pobłażliwość i humor nawet tego szkicu, którego autorem jest zwolennik mody ludowej — jest jedynym stanowiskiem wobec sprawy, której żadne rygory nie przesądzą, sprawy tak lekkiej, jak moda i tak spornej jak to, co się podoba.

Jeśli rostrząsamy zagadnienie stroju ludowego w teraźniejszości i przyszłości, nie wolno nam tracić z oczu jego przyrodniczych, ekonomicznych, historycznych, społecznych i psychologicznych warunków, które powołały go do życia. Nie wolno nam sprowadzać jego wartości ani do zabawy w sentymentalną sielankę przeszłości, ani do karmienia oczu barwnym piórkiem u kapelusza, wstążką we włosach albo pasiąstą kiecką, gorejącą jaskrawością barw. Trzeba nam natomiast starać się o dostarczenie pod tym przyjemnym pokarmem dla oczu — wartości stroju jako istotnego ludowego dorobku kulturalnego.

Wchodzimy więc na drogę poszukiwań metody opieki nad strojem ludowym. Poszukiwania te dają wynik naogół negatywny, jeśli stwierdzimy, że opieki nad strojem ludowym nie miało w swym programie żadne towarzystwo kulturalne w Polsce. Nawet Towarzystwa Popierania Sztuki i Przemysłu Ludowego, które wchodzić zaczęły na drogę planowej opieki na sztuką ludową, nie zajmowały się tą sprawą wcale. Niemniej prawie wszystkie towarzystwa oświatowe i kulturalne, pracujące na wsi, zgłosiły za pośrednictwem wielu działaczy społecznych, hasła zachowania stroju ludowego. Kierując się względami artystycznymi i narodowymi, nie bez romantycznego sentymentu do przeszłości, starały się one zachować kwiat, nie dbając o jego liście i korzenie. Wieloletnia działalność tych towarzystw w dziedzinie opieki nad swojszczyzną, nie oparta o żaden plan i metodę, okazała się naogół bezplodna.

W poszukiwaniu metod pracy w tej dziedzinie nie należy sięgać po wzory zagranic.

*) Referat wygłoszony na Zjeździe Centr. Instytutu Kultury w Zakopanem.



Para młoda w stroju krakowskim przed 40 laty.

czne. Nie odpowiada nam bowiem niemiecka metoda „zglajchszaltowania“ wszystkich strojów do jednego, masowo fabrykowanego uniformu ludowego. Nie odpowiada nam zarówno ze względu na nią formę totalistycznej opieki nad strojem ludowym, jako też nadania uprzywilejowanemu typowi stroju cech nazwotowskiego mundurku. Szczególnie po wojnie gdy jeszcze żywo mamy w pamięci różne zbrodnicze indywidualia, paradujące po naszej ziemi w białych pończochach, zielonych kapeluszach z pórkiem lub pędzlem i wyswiechtanych spoderkach tyrolskich — odraza do tego stroju stała się u nas powszechna.

W Polsce podobne tendencje nie ujawniły się nigdy, aczkolwiek wybór stroju krakowskiego, jako reprezentacyjnego stroju ludowego zdaje się być niesporny. Wszak banderle krakusów witają przyjazd biskupa lub dygnitarzy państwowych nawet w ziemiach daleko poza granicami ziemi krakowskiej. Krakowiaka tańczy się tak w Gdańsku jak i w Bel-

gradzie lub Chicago, a w strój krakowski jeszcze niedawno odziewały się zarówno panie z zagranicznych korpusów dyplomatycznych w Polsce, jak i druzbnowie na weselu rabina w Bobowej.

Takie wyróżnienie stroju krakowskiego nie ma nic wspólnego z ogólnym hierarchizowaniem stroju ludowego w Polsce. Należy tu bowiem wziąć pod uwagę momenty patriotyczno-historyczne, które wpłynęły na powszechną sympatię do tego typu odzieży regionalnej. Wszakże chłopci krakowscy szli z kosami na armaty pod Raławicami, wskakując sukmaną naczelnika Kościuszki, pod Maciejowicami, stała się relikwią narodową. A potem ktoś to, jeśli nie chłop krakowski, krzyknął w „Weselu“ Wyspiańskiego na całą Polskę, że „chłop potęgą jest i basta“? I odtąd wszelkie marzenia o wolności zrosły się z wiarą w nadchodzący świat — kiedy nowe pokolenie chłopów zadmie „w złoty róg“. To czynniki, obok niepospolitej dekoratyw-

ności i rycerskiej junackości tego stroju, obok dominujących w nim barw narodowych — białej i czerwonej — oddziaływały bezspornie na jego charakter reprezentacyjny.

Niemniej samorzutnie, zgoda z inną podłoża, wyrastała równorzędnie reprezentatywność polskiego stroju Podhalań, Lachów sądeckich, Księżaków i Ślązaków, a niezawodnie z biegiem czasu i w miarę siły napięcia naszych zainteresowań ku innym grupom etnicznym, powstałyby nowe wykładniki reprezentatywności polskich strojów ludowych.

Te jednak samorzutnie kształtujące się formy przedstawicielstwa strojów ludowych w Polsce nie mają żadnego związku z totalistyczną ingerencją państwa w dziedzinę, rządzącą się własnymi prawami.

Do ogólnych metod opieki nad strojem tradycyjnym należy też praktykowany we Francji zwyczaj, nie pozbawiony zresztą pewnej teatralności, wedle którego merowie miast, prefekci departamentów oraz znaczniejsi urzędnicy miejscy wraz z ich żonami obowiązywać się do noszenia stroju regionalnego podczas świąt urzędowych i znaczących uroczystości. Zwyczaj ten wszedł w życie nie bez propagandy i nacisku francuskiego ruchu regionalistycznego, a sporadycznie przyjął się jako moda inteligencji, szczególnie pań. Gdzieś indziej znów przyjęły go sfery robotnicze.

W Polsce, gdzie strojem regionalnym jest niemal wyłącznie strój ludowy, pomysł takiego strojenia się panów w piórka wiejskie przywytany byłby z łatwo zrozumiałym humorem.

Nie odpowiada nam również metoda ochrony stroju ludowego praktykowana przez zaśluzone zresztą na polu oświaty ludowej szwajcarskie towarzystwa swojszczyzny, mające między innymi na celu zachowanie strojów tradycyjnych i obyczajów ludowych. Działalność tych organizacji nie może być wzorem dla nas z tego względu, że obejmują one skuteczną opieką jedynie samodzielną strój codzienny i to tani, wytwarzany w spółdzielniach, a sprzedawany nawet w straganach jarmarcznych. U nas, gdzie strojem codziennym staje się przeważnie podniszczony strój świąteczny, prowadzenie analogicznej akcji nie mogłoby wieść do celu. U nas może być mowa przede wszystkim o zachowaniu stroju świątecznego, jako najpopularniejszego sprawdzianu naszych odrębności regionalnych oraz jako cennego dorobku kultury ludowej, wchodzącego w dziedzinę sztuki.

Nie znajdując w zagranicznych metodach opieki nad strojem ludowym niczego, co by mogło być nam przydatne do działania w naszych warunkach — dokonajmy przeglądu naszych rodzinnych wysiłków. Było ich wiele ale rozproszonych i nieskoordynowanych wspólną myślą planową.

Do najdawniejszych opiekunów stroju ludowego należeli bezsprzecznie księża. Jedynymi kierowało szczere przywiązanie do swojszczyzny, drudzy traktowali tę sprawę ze stanowiska potrzeb Kościoła, uważając strój ludowy za nadający się znakomicie do uświetnienia uroczystości kościelnych, przyjazdu biskupa itd. Byli wreszcie i tacy, którym strój ludowy potrzebny był ze względów wychowawczych, jako pułkierz przed inwazją zgorzienia, idącego ponoć od miast. W związku z tym zwalczali oni przywdziewanie stroju miejskiego na wsi, jako oznakę panoszenia się ludu, mędrkowania i upadku pobożności. Metody stosowane w tej dziedzinie przez niektórych duchownych starszej generacji, były osobliwe. Ks. Karol Szalasny w Marcporebie koło r. 1890, a ks. Maryniarczyk w Podogrodzku koło r. 1925 zażądał od młodożenców, by przychodzili do ślubu w nowym stroju ludowym. Był to jednak środek naogół zawo-

Stanisław Skoneczny

CZWARTA WIOSNA

Jak ogród gałęziami wydłuża się w ulicę wsi,
czwarta wiosna wydłuża się w wojnę postronkami wisieleców,
dla których zamiast trumien
ma koperty grabarz brzęczącym orderami
na plamach krwi.

Wieczór zbiera pod murami echa salw egzekucji
w czapkę nocy świecą srebreną gwiazdą trupiej głowy.
Nad ciszą miast wisł księżyc jak topór.
Wieczór płowy, jak więzień koncentracyjnego obozu,
w pasiaku wojennej wiosny
nie widzi zieleni topól.

Jasny chłopak, który pisał przed wrześnie wiersze,
przechodzi między giełdą i zdradą
z rewolwerem nabitym, jak radość
wybuchem śmiechu,
albo jak ręka
wybuchem granatu
między giełdą, zdradą i wiosną.

Bagnet grający melodię zemsty i nienawiści
na gardle pojmanego wroga
pod pachnącymi żywicą drzewami lasu,
będącego niezwykłym bastionem Rzeczypospolitej,
jest złotym piórem,
które
notuje zdania pierwsze
w tych dniach
wielkiego poematu.

1944

ODWRÓT

Macierzanki jeszcze woń noszą miedzami w sady
ociężale zielenią mroku nad śladami dziecinnych stóp.
Zurawie skrzypią przeciągle, niebo podnosząc blade.
O szyby warkot myśliwców dzwonił jak uderzenie grud.

Na pustym horyzoncie drzewa idą gromadą.
Nieruchomo sterczą gałęzie nad skrzydłami wiatraków.
Drogą pełną wyboi w zmierzach wojenny idą i idą,
a szumi nad nimi lot ciągnących na gniazda ptaków.
Hełmy dzwonią o siodła, rzemienie parzą skórę
koni łowiących w uszy trąbkę wśród sosen burych.

Wynoszą kobiece ręce w mijanej wsi garnuszki
z mlekiem kipiącym pianą. Usta piją zaschnięte.
Sypią się liście krągłe po lufach jak pełne gruszki,
Schną malwy w ogródkach, a rosa dojrzewa miętą.

Gwiazdy nie błyszczą na niebie. Wiatr drzewinę gnie,
biegnąc łakami tratuje trawy pochylone.
Mileżąca wieża kościoła wyrośnie nad wzgórze dniem
czerwona i strzelista w błękitie zadymionym.
Zabrzączy czasem karabin, piasek miął koła
wozów ocalałych. Głos zachrypiły woła.

Płyną czarne pola ścierniskiem żyta i pszenic,
nogi oblepia droga kurzem zroszonym i mgłą.
Człapią konie, żując pociemku zapach zieleni,
Zjeżdżone deski mostu pod tupotem się gną.

Człapią końskie kopyta, nogi podbite, obdarte
Marsz wierzchołkami wierzb znaczy swój szlak
Kołyszą głowy senne sny o odwiecie za Wartę.
Nad Odrą w dudnieniu potężnych dział
idą senne wizje. W gałęzie pada deszcz,
a w oknie domu, co ocalał, w fabrycznym mieście
głowa siwa i oczy pełne łez.

1944



Gospodarz z Istebnej, pow. Cieszyn

dny. Nakazy bowiem i zakazy w dziedzinie kultury nie mogą budować rzeczy trwałych. Jako środki z repertuaru biurokratycznego są z zewnątrz narzucanym przymusem, który ścieka po człowieku, jako deszcz po gęsi, jeśli nie odpowiada mu nakaz wewnętrzny, potrzeba i przeświadczenie o jego słuszności. Nie dziw zatem, że młodzieńcy starali się omijać te zarządzenia i przychodzili do ślubu w stroju pożyczanym. Gdy ksiądz nie dał się wyprowadzić w pole, dochodziło wtedy do przekomarzań, nie pozbawionych komizmu.

— Bratku, z kogoś to zdarł? — pytał obcym ks. Maryniarczyk.

— To ojcowe — odpowiadał, chwytając się spekulacji kandydat na młodego pana.

— Sumiennie?

— Ojcowe — nie ojcowe, ale dzisiaj moje.

— Aha, takiś mądry? Żeńć się chcesz, a portek swoich nie masz?

Innym razem robił ksiądz proboszcz znak na podszewce wypożyczanego ubrania i zapowiadał srogo:

— Żebym ja tych portek więcej przy ślubie nie widział.

Była to zabawa w ciuciubabkę, bo znak łatwo można było wymazać lub zaszyć.

Naogół jednak księża, jako organizatorzy obrzędów i uroczystości kościelnych, oddziaływali dodatnio na żywotność stroju ludowego. W bardzo wielu parafiach w Polsce utarł się bowiem zwyczaj, że tylko poważni gospodarze w sukmanach, guniach lub świtkach noszą baldachim nad celebrantem w Boże Ciało i tylko dziewczęta w miejscowych strojach ludowych syją kwiaty podczas procesji lub noszą ukwiecone feretrony.

Odzie indziej znowu najwydatniej w tym względzie oddziaływało duchowieństwo na lud za pośrednictwem szkoły, zanotować tu należy, że np. w renesansie stroju ludowego w góralskich wsiach Śląska Cieszyńskiego najpoważniejszą rolę odegrały dzieci szkolne, wychowane w duchu poszanowania swojszczyzny. Księża i nauczyciele posługiwali się w tej dziedzinie delikatnymi środkami działania. Wyzyskując mianowicie powszechny zwyczaj uroczystego odziewania dzieci, idących do pierwszej Komunii, tłumaczyli rodzicom, że „najrozsądniejszym i najparadziej-szym” strojem w takim momencie jest strój góralski i w związku z tym umieszczali dziewczęta, ubraną po góralsku, na czele zwyczajowych pochodów młodzieży do kościoła, na drugim zaś miejscu — dzieci odziane po „walsku”, wedle mody okolic podgórskich, na trzecim wreszcie dzieci, ubrane w miejską. Odwoływali się więc do psychologicznych właściwości rodziców, czynili w takich razach na punkcie umożliwienia swym dzieciom pierwszeństwa przed innymi albo przynajmniej zrównania ich z pierwszymi.

Wyniki tego rodzaju propagandy nie dały długo czekać na siebie. W Istebnej, Jaworzynce, Koniakowie i innych wsiach, w których gnać już zaczynał strój góralski pod wpływem udogodnień komunikacyjnych z letniskową stolicą Śląska Zielonego, Wisłą — na nowo odżyła moda noszenia się po dawnemu. Zwykle bowiem gdy kupowano materiał samodzielnemu w ubranie dla dziecka — znalazły się pieniądze na kupno stroju góralskiego i dla starszych.

Ważną też rolę w zachowaniu i propagowaniu stroju ludowego spełniały tu i owdzie w Polsce związki młodzieży wiejskiej. Już przed drugą wojną światową pojawiły się u nas próby w tym kierunku, aczkolwiek jeszcze nieśmiało, bezplanowo, dorywczo i nieprzemysłane. Na Węgrzech jednak i w Estonii mogą te związki pochlubić się daleko lepszymi wynikami swej pracy. Przykładem dodatnich wyników fachowego oddziaływania na sprawy swojszczyzny były u nas Zjazdy Górskie, pod których wpływem lud góralski uczył się szacunku dla swego stroju, piękności i obrzędu i rozróżniania między nalecia-

łościami obcymi, a tradycją regionalną. Z obrzędów rodzinnych największym wzięciem cieszyło się wesele, a z obrzędów dorocznym — dożynki — dwie tradycyjne rewie najpy-

szniejszych strojów ludowych. Teatralny pierwiastek tych obrzędów sprzyjał wydatnie konserwacji stroju tradycyjnego.

Podobną rolę odgrywały uroczystości ludo-



Grupa młodzieży w stroju regionalnym (Istebna).

Ludwik Łakomy

JASIENIEC BUDUJE DROGĘ

Poznałem Jasieniec podczas okupacji. Opodal niego, w Skarżysku Kościelnym, przewalilo się nade mną wspaniałe uderzenie wojsk radzieckich, które w wyniku doprowadziło do zdobycia Berlina. Znałem Jasieniec jako wieś zapadłą, piachami (dosłownie) odgradzoną od świata, głodną, bezrobotną, chociaż nad podziw uspołeczniona. Tu, czasu okupacji, była ostoja partyzantki, tu zgromiony partyzant mógł odpocząć i pożywić się nieco; tu również spadochroniarze radzieccy znajdowali jak najbardziej przytulne.

A oto po dwu latach dostrzegam rewolucyjną zmianę na lepsze. Wsi o takim rozmachu organizacyjnym jak Jasieniec, nie wiele w Polsce. Tu dopiero jasno i wyraźnie dostrzeżę się, że kochanie wsi — kochaniem, gadaniem o chłopach stanowiących 70 proc. narodu — gadaniem, natomiast jaskrawą realność stanowi fakt odnalezienia środka do uleczenia jej kalectwa przeszłości, środka, którym w pierwszym rzędzie jest — droga.

Patrzę w ucziwe a szczerze oczy mego przyjaciela z czasów okupacji, obecnie zaś kierownika budowy drogi powiatowej Skarżysko — Iłża na odcinku km 18,582 do km 26,52. Idę krok w krok za inżynierem Krogulcem i podziwiam, podziwiam. Objają mi się o uszy określenia techniczne: roboty ziemne m sz 32385, wydobycie i dostawa kamienia podkładowego m sz 9600, pokruszenie z dostawą tłuczniarą oraz grysłu żużlowego m sz 8000, dostawa piasku na warstwę filtracyjną m sz 4800, ułożenie podkładu m kw. 48000, wałowanie jezdni m sz. 7200, do stawa brukowca m sz 1200, zabrukowanie opasek m kw 4000, ustawienie krawężników m bież. 4000, wykonanie sączków poprzecznych m bież. 1680, ubezpieczenie roboty ziemnych m bież. 16000, budowa przepustów i mostów sztuk 10+1, dostawa materiałów do smołowania ton 12000 grysłu oraz ton 96 smoły, wreszcie smołowanie powierzchniowe m kw 48000.

Wykaz graficzny czyli harmonogram zaznajamia mnie z postępem robót. Personalny techniczny w osobach ob. ob. Cmurzyńskiego, Dymucha i Drożdża objaśnia co do szczegółów. O sprawach administracji oraz umiejętności wiazania „końca z końcem” informują ob. ob. Żywicki, Kędziora, Sadowski, Markiewicz a także dwie hoże Jasieniczanki, zajmujące się wyżywieniem personelu.

Notując szczegóły zarazem przypominam sobie ogólne dane z fizjografii tych okolic. Wiem, że powiat iłżecki, to okręg rolniczo-przemysłowy. Wiem, że w okręgu Jasieniec istnieje dość rozległe i bogate w mangan złoża rudy żelaznej. Przypadkiem i to mi wiadomo, że powierzchnia powiatu iłżeckiego wynosiła przed wojną — 178293 ha, z czego ziemi użytkowanej rolniczo było ogółem 121032 ha. Ziemia żytnioziemniaczana, z tym, że w okręgu Jasieniec uprawia się moc lnu, gryki i prosa. A przecież wiadomo, że „kto siele proso, chodzi głodno i boso”. Bieda potęguje się tym bardziej, im gorzej w danej okolicy istnieją warunki komunikacyjne.

Gościnnie białyni osadzi w miejscu największe wysiłki człowieka; trakt piaszczysty szybko zmęczy robotnika śpieszącego na dniówkę; nawet najskromniejsze poczynania uniemożliwi brak dobrej drogi, bez której wyczerpanie i zbudowanie i jednolitości i społeczeństwa błądzą po manowcach.

Niby to nie taki sobie pośród chałup, pól i lasów biegnący długi pas z torbami kurzu na wyziwionej nawierzchni. I któż się zastanawia, że z postępowaniem takiej właśnie bitaj drogi wieś może zerwać z drzemką, ciemną i zabobonem, plotkarskim i niewiara we własne siły? Kiedy gromada jasienińska na lądnych parę lat przed wojną zaczęła zabiegać o budowę drogi, ów jeden tylko fakt zaświadczył o jej dojrzałości społecznej. Bo Jasieniec — to nie Reymontowe Lipce z ciasnym zaskorupiałym konserwatywnym odwróconym od wójtowego Grzebi lub dobrze wszystkim czyniącemu Rocha; to nawet nie Lisków z całym bagażem inicja-

tywnej społecznej, lecz jednostkowej; to — zrzeszona, odpowiedzialna za to co czyni dla dobra już nie tylko swego, lecz następnych pokoleń, wola wydzwignięcia gromady wsiowej z jej bezradności, obojętności oraz słupienia.

Myśl poprzedza każdy czyn. Włodarz województwa kieleckiego a chłop z dziada pradziada, mjr. Wiślicz - Iwańczyk rzucił myśl, także chłopski syn, inż. Zenon Krogulec, myśl obleka w ciału tworząc kośćce, obok którego powstaje wzorowa wieś pilska: — Jasieniec. Ci dwaj ludzie nie spirali się z sobą o program zniweczenia chłopskiej biedy. Ci dwaj ludzie zgodnie orzekli, że z biedy do jasnej przyszłości może chłopów wyprowadzić tylko twarda, bez bóla i piachu, droga przez wieś.

Wolno, lecz ustawicznie kładzie się na piach sprężysty szlak nawierzchni; szybko, jak grzyby po deszczu, wyrastają obok jej krawężników — szkoła budowlana, gimnazjum elektrotechniczne, tartak betoniarńia, poczta, jedna, druga i więcej agend spółdzielni Samopomocy Chłopskiej; z dokładnością mechanizmu zegara gromada Jasieniec pracuje nad wydzwignięciem swej wsi z marazmu, mającego swe źródło w niedostatku.

Rozglądam się w mapie. O nie dobrze! Na bardzo krótkim odcinku, zaledwie od Łyżew do Krynek, biegnie tor linii kolejowej. Jedna droga bita Starachowice — Iłża — Radom, biegnie równoległe do Wisły wcale do niej nie docierając. Co najmniej 0,9% rolniczo - przemysłowego powiatu, to bezdroża. Nie masz z nich wyjścia bez drogi! Obszar do skowronkowych zawodzeń, do pohukiwania „oj ostre kosy nasze” w chwilach spoczynku, ale obszar nie do pracy, nie do postępu, nawet nie do jakiegoś takiego bytowania. Nie dziwota, że istnieją tu duże wahania cen w czasie i przestrzeni, gdyż powodują je głównie złe warunki komunikacyjne. Słowo tu niczym a i oświata! bezpłodna, pokąd powiat iłżecki nie będzie posiadał kregostupa w postaci drogi umożliwiającej mu dostęp do Wisły a z nią i do morza.

Jest to właśnie jasienińska droga, która przeciąwszy drogę Starachowice a raczej Wierzbnik — Radom pójdzie dalej aż do Wisły.

Kiedy szczupła ekipa drogowa Urzędu Wojewódzkiego z Kielc po raz pierwszy zawitała do Jasieniec, zrazu patrzo na nią spodełba, jakby te samochoody marki „JAMES”, wały i niwelatory pragnęły zatracić zbawienie pośmiertne chłopów. Kiedy przed rokiem Stasia Kozikówna przyszła do pomocy w stołowie, było to dziewczę nierozgarnięte, nieśmiałe i, niechże mi nadobna współpracowniczka budowy jasienińskiej drogi wybaczy, nieco — brudnawe. Dziś Stasia zaawansowała na kierowniczkę stołówki, dziś jest ona inteligentną, roztropną, czystą i młą, a co najważniejsze — bardzo społeczną niewiastą.

Kiedy mistrzowie drogowi wszczęli prace na piaszczystym trakcie, zrazu ręce im opadły na widok ospałości, niedbalstwa a nawet i złej woli podporządkowanych ich kierownictwu drużyny. Trzeba było poganiać, błagać, prosić, potrącaćmi zarobków grozić a narzędzi strzec jak skarbu, bo — ginęły. Dziś, po roku, praca idzie składnie; każdy z robotników powierzona mu czynność wykonuje skrupulatnie, sumiennie a przy tym szybko i nie trzeba już poganiać, bo szlak dokonywanych robót stał się areną wyścigu współzawodniczących z sobą drużyn.

Jakimże to sposobem zaszła taka przemiana? Czy to sztab drogowy inż. Krogulec w czymkolwiek do niej się przyczynił? Trudno tu przypisać zasługi jednostkom. Kiedy się widzi, jak mimo słonecznego skwaru budowa jasienińskiej drogi zwawo postępuje naprzód, jak praca wre aż do chwili, kiedy słońce za lasy się skłania.

To tylko trzeba dodać, że ekipa drogowa uczyła własnym przykładem. Na wstępie uruchomiono własne kamieniołomy, wyszkolono obsługę samochodów i wałów, uczono, jak należy ekonomicznie a szybko

we, organizowane w różnych ziemiach Polski.

Zrozumiano też u nas, że Podhale, zmieniające swą gospodarkę rolną na pasterską i letniskową, posiada trzy atrakcje dla przyjezdnych: powietrze, góry i wabące oczy swol-szczynę. W związku z tym Towarzystwo Tatrzańskie postanowiło jeszcze przed kilkunastu laty, że przewoźnikiem na Dunajcu może być tylko ten, kto ma góralskie odzienie, a dorożkarze zakopiańscy bez przymusu zrozumieją, że strój góralski jest dobrą przynętą dla gości, że to nie tylko parada, ale i interes. Nie zatroszczono się jednak o wygląd tego stroju. Nikt nie dbał o to, że na cuche wylazły jakieś banalne kwiaty, których nikt nigdy w górach nie „cyrował”, jakieś dziewięciorniki, różowe tulipany, róże i cały ogród zielska. Nikt nie dbał o to, że przepiękne parzenice, wyśtuderowane przez wiejskich krawców, to ozdoby, którym tylko góral mógł nadać tak stylową formę, paskudziły się pstrokaczka ostów, żabich oczek, tulipanów i innych cudactw, które z portek górala robią istne „kumedyje”.

Tadeusz Seweryn



Para iowien

Ludwik Łakomy

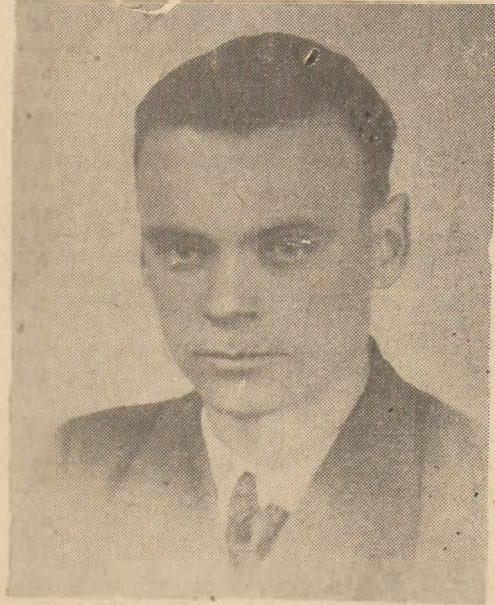
Tadeusz Chróścielewski

„Wyżynki“^{*)}

O książce Teodora Goździkiewicza

OMYŁKA

Pierwszą grupę nowel „Wyżynki“ można nazwać grupą dworu i wsi. Złożyły się na nią trzy utwory napisane między rokiem 1924—28. W noweli tytułowej przedstawiony jest wyzysk dziewcząt folwarcznych ze strony dygnitarzy dworskich. Zaczyna się ona udanym opisem pełnej fałszywego serwilizmu uroczystości Wyżynki (dożynki) i dalej już mowa o wydarzeniu, które nazywa autor „historią starą jak starymi wieś i dwór być mogą“ — uwiedzenia Józki przez rządzącego. Dziewczyna ku zgorszeniu dworu i koleżanek odrzuca praktykowany zwykle w takich razach podarunek i jak się zdaje — popełnia samobójstwo.



TEODOR GOZDZIKIEWICZ

Noweli — niewolnej od efektów melodramatycznych — przydaje autor poetyckie zakończenie o „krwawej doli ludzkiej“, która „idzie po wydeptanych bosymi nogami ścieżkach i łąka“.

Artystycznie najlepsza druga z rzędu nowela pt. „Polowanie“ mówi o tym, jak rywalka panów staje się mimowolną przyczyną śmierci chłopca, którego rozszarpuje zraniony dzik zabłąkany między płotami. Wieść o masakrze nie budzi zainteresowania u zadowolonych z siebie myśliwych.

Utwór ostatni — najjaskrawszy.

Paniak — syn dziedzica nie posiadający żadnych hamulców moralnych, dwudziestoletni bęczał znakomicie scharakteryzowany — goni dziewczynkę zbierającą w pańskim lesie chróst. Podniecony pościgiem, który właściwie zaczął dla sportu, bije ją nieludzko. Po kilku dniach na wiadomość o przyścinieniu matki pobitej znajduje jedynie te słowa: „Głupstwo, tatku, skórę ma twardą i nie tyle powinna wytrzymaść.“

Gdy zaś ojciec oznajmił mu, że dziewczyna umarła, mówi: „Pewnie (matka) coś chciała na pogrzeb. Oni wszyscy tacy, nie żal im dziecka, lecz pieniędzy wydanych na pochowanie. Pieskie nasienie!“

Goździkiewicz posiada cenny dar chwytania wtórnych szczegółów życia i nadawania im głębi w rzucanych z lekka niemal od ręki obrazach.

Czy chwytają jednak w juveniliach, jakimi są powyższe trzy nowele, zasadnicze kontury rzeczywistości zmiennej i ciągle narastającej? Wątek pierwszej i trzeciej noweli kształtowała długotrwała tradycja literacka wywodząca się z wczesnych warstw sentymentalizmu z jego egzaltowanymi powieściami w typie Richardsona i transparentem ideowym: Deklaracji praw człowieka i obywatela. Wątki te są żywotne przez cały XIX w. — który ustanowił „Sturm und Drangperiode“ myśli liberalnej kiedy to jednostka była punktem wyjścia i dojścia. Problem społeczny skupiał się na proteście przeciw znieważeniu godności ludzkiej osoby niższej stanem, ponieważ odkryto, jak to typowo określili znany sentymentalista rosyjski I. pol. XIX w. Karamzin, że „i chłop umie czuć“. I stąd w przeróżnych „Biednych Lizach“ i „Halkach“ bez końca powtarzamy motyw uwiedzenia przez panicza lub użycia wobec chłopca przemocy fizycznej. Siłę ciężenia problemu wzmacnia się nieodłączną melodramatycznością oraz tragicznym zakończeniem. Wątek drugi znalazł w literaturze polskiej typowy wyraz w popularnym melodramatycznym „Janku Muzykancie“.

Ta właśnie siła tradycji zaciążyła fatalnie na młodym Goździkiewiczu, czyniąc nieczulym obserwatora — realistę na zjawiska **znamienne** (co jest właśnie podstawowym warunkiem realizmu), jakie rzeczywistość musiała na każdym kroku roztaczać przed oczyma młodego nauczyciela wiejskiego. Ta siła nakazywała właśnie wybierać na tworzywo artystyczne zawiąski wyjątkowe, dyktowane przez anomalie psychiczne, z których pierwsze (uwiedzenie) jest anomalią ponadwarstwową i ponadczasową, a drugie

(bezkarne pobicie) było wprawdzie typowe, lecz w czasach pańszczyzny, w epoce „Żeńców“ Szymonowicza i „Popiołów“.

Dlatego też obie nowele wyszłyżgają się spod rygoru problematyki społecznej, stają się — wysoce artystycznym — udratyzowaniem szczegółu **kroniki kryminalnej**.

Na tym polega omyłka Goździkiewicza. Wieś i dwór w latach pisania „Wyżynki“ szamotały się nie na wąskiej przestrzeni „osowiałego trawnika“, na którym pijany rządcą „szukał rąbka“ józczykowej spółniczki, lecz zwierzały się jako dwie równoważne siły w walce o byt, pchane logiką procesów społecznych i ekonomicznych. Ta walka wrzała na trybunach sejmowych, gdzie interpelowano w sprawie reformy rolnej, zakłócała ciszę gabinetów ministerialnych, gdzie ustawa szła pod sukno, dawała znać o sobie po chałupach w czasie długich wieczorów rodzinnych, odczuwało się ją na zebraniach organizacji wiejskich, „grzmiąca nią ambona“, „dyszały konfesjonały.“*)

O reformie rolnej wspominał Goździkiewicz tylko raz w scenie, której przesada świadczy o ówczesnej niedojrzałości świetnego prozaika.

POKIWAŁI MAATUŚ GŁOWA...

Pomiędzy nowelami dworskimi a trójką końcową którą pozwolę sobie objąć wspólnym tytułem: „Ręka gromady“, leży uwikłane w gąszcz zbytecznych pozycji opowiadanie: „Najstarszy z rodziny“. Zostało napisane w r. 1928, na pięć lat przed wyjściem powieści, która ukazała całej Polsce jedno z dwóch rozgałęzień tragicznego epilogu omawianej noweli. Mam na myśli „Wierzyby nad Sekwaną“ J. Wiktor. „Najstarszy z rodziny“ zaczyna się sielankowym opisem odwieczera u Skocznych, zatrzymuje się na nim długo i odrywa z wyraźną niechęcią — do brotliwie spojrzenia autora, niezrównanego w kreśleniu pogodnych obrazków z życia dzieci.

W nocy jednak dorastający Józek usłyszał niechętny fragment niewesołej rozmowy rodziców. Mówili o skrawku ziemi „takiej jak psi pazur“, że nie ma co do gęby wrzucić. Najlepiej byłoby, żeby Józek wyjechał do tej Francji. I na siebie zarobi, i im ulży, a przecie nie zginie. Józek zrozumiał ciężką sytuację rodziców i po przeżyciu bolesnej rozterki zdecydował się na wyjazd. Wynurza się z odległych zakamarków pamięci wątek bajki ludowej o Jasiu i Małgosi a potem wiersz z „Godów“ Konopnickiej:

„Pokiwali matuś głowa,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...
Idźże, Jasiu, w świat szeroki...“

Przypomnienie to nie jest jednak wynikiem bezwonnego unoszenia się na fali tradycji literackiej. Powoduje ją podobny mimo upłyńnięcia 60 lat stan ekonomiczny wsi z tymi samymi możliwościami obronnymi, a właściwie brakiem ich na skutek anachronistycznej struktury bytowania izolowanych,

*) Młode pokolenie Chłopów — J. Chałasińskiego — Warszawa 1938 t. II str. 225.

Leonard Sobierajski

Środowisko

Autor „Wyżynki“ wyszedł z podsieradzkiej wsi. Powiat sieradzki to zaiste charakterystyczny swoją typowością wycinek Polski. Gdybyśmy z góry nań spojrzeli, zobaczylibyśmy krainę rolniczą, pozbawioną prawie całkowicie unerwienia gospodarczego. Czystość zielonych szachownic burzy tu tylko najdalszy przyczółek łódzkiego okręgu przemysłowego, wrzynając się kominami Zduńskiej-Woli w siolowy krajobraz. Poza nim nic nie maści błękitu nakrywającego hermetyczną kopułę tę zaspianą jakby ziemię. Widny z dala komin sieradzkiej gorzelni jest rozpaczliwie samotny, monotony pomruk młynów przydaje miasteczku atmosferę jakiejś tylko zbożowej, roślinnej wegetacyjności. Do ostatnich chwil Sieradzki robił wrażenie miasta zapóźnionego, miasta, które uparcie trwa na marginesie ambicji gospodarczych, spoglądającym z boku wydawało się, że zakrzepł w tradycyjnym kształcie.

Powiat sieradzki usiany był dworami. Pańskie siedziby nadawały ton całemu rejonowi. Wielkie obszary dworskie produkowały zboże, kartofle, oddając młynom i gorzelniom swój surowiec. Dochody z tych majątków nie szły na żadne inwestycje przemysłowe, powiatu nie bogacono, nie otwierano przed nim nowych możliwości gospodarczych, jedyną inwestycją były kamienie w stolicy.

Drobne gospodarki chłopskie usychały nie znajdując w zaspianym środowisku maleńkich miasteczek (Burzenin, Złoczów, Warta Szadek) rynku zbytu na produkty, gospodarki te, prowadząc uprawy na „lekkich“ żytnio-kartoflanych ziemiach, nie znajdując żadnych bodźców gospodarczych dla jakichś upraw specjalnych czy hodowli, produkowały tylko dla siebie, coś nie coś oddając na małomiasteczkowe rynki.

Dąbrowa, rodzinna wieś Goździkiewicza, jest jakby wyciętna na peryferiach powiatu, odsunięta od głównej arterii (szosa — Łódź

zanych wyłączenie na siebie gospodarek rodzinnych. Przy tej strukturze — gospodarstwa karłowate skazane były na wegetację. Stąd wielorazowe falujące liczby ukrytego bezrobocia i tragiczny exodus polskich rolników w czasach dżalainości pisarskiej autorów „Pana Balcera“ i „Za chlebem“ na Zachodnią półkulę, a w latach gdy Goździkiewicz pisał „Wyżynkę“ do Francji i Niemiec.

Spojrzenie autora posiada już znaczną wnikliwość i rozpiętość. W wydarzeniu w rodzinie Skocznych Goździkiewicz widzi nie efektywny temat nowelistyczny, lecz **fakt społeczny** o zasięgu dalszym niż kopiec graniczny trzymorgowej gospodarki.

„A gdzie to masz lepiej — rozprawiają rodzice — gdzie? i na Kapinkach, na Budzicznej i Sokołów cały, na Dębinie, wszędzie ludzie na tych zagonach siedzą i jakoś biedę klepią... nikomu się nie przelewa. Zaradzisz to co? bieda i tyle... pożyczyc by było i inni pożyczają i stać ich na to... — i mają więcej bo zarobią...“

Wieś widziana oczyma Goździkiewicza przypomina jakąś wyspę odludną i oddaloną od szlaków morskich. Znajdują się na niej rozbitkowie, ale rozbitkowie zgola dziwni: obserwują się z pod oka, żyją każdy na własną rękę.

Uchwycił tu Goździkiewicz punkt najwyższy dramatu, jakim jest życie przeciętnej wsi. Od tego miejsca jest już tylko możliwe albo zejście ku katastrofie, albo poderwanie się w nagłym wysiłku, jaki podobno czyni organizm w śmiertelnym niebezpieczeństwie na wyżynie.

RĘKA GROMADY

Założono we wsi spółdzielnię. Nowiuteński sklep cieszy oczy niepokalanie czystą wagą. Cóż stąd, kiedy pierwszy klient — ośmioletnia dziewczynka nie dostała w nim śledzi. Nowoobraną przez odczuwa wyrzuty sumienia, wyjeżdża w nocy, w siarczysty mróz do odległej składnicy, aby po wielogodzinnej mordędze przywieść zapotrzebowany towar — oto treść noweli „Śledzie“ — jednej z najlepszych pozycji w dorobku Goździkiewicza: zwartej odznaczającej się subtelnym rysunkiem psychologicznym i świeżością wyrazu. Bohaterem „Gorącym dnia“ jest skarbnik, który przewycięzył pokusę „wypożyczenia“ sobie z kasy spółdzielni 8 złotych na kosztą wycieczki dziecka.

W noweli „Ręka gromady“ spółdzielnia mleczarska wynajmuje połowę chałupy należącej do chłopca — ambita, co żył na osobniaku. Budynek stał niedokończony — z winy kryzysu i złych zbiorów. Zarząd spółdzielni ofiarowuje Grzejsiakowi komorne o 100 proc wyższe, niż taksa, ażeby w ten sposób umożliwić mu zakończenie budowy. Nie przyszła ta decyzja łatwo: musiano w sobie przełamać — zazdrość sąsiedzka, i ociążałość decyzji.

Goździkiewicz pokazuje wieś nową (nowela pisana w latach 1935 — 37) kształtującą się dopiero. Tradycyjne wzorce do tej wsi nie przywierają. Równie nie pasuje Sienkiewiczowa wieś Barania Głowa, co Fa-

leniec Dolny, który opuszczał kiedyś Andrzej Radek, aby z chłopskim uporem sięgnąć po indywidualny awans społeczny. Nadopłotkowo rozumował w Faleńcu jedynie zaplątany weń przypadkiem obcy przybysz, chory na gruźlicę inteligent, nauczyciel dworski.

Inna rzecz, że ta samodzielnność, a także zbyt ucziwie teraz pozostawanie w granicach typowości: wystrzeżenie się wszystkiego, co w żargonie literackim nazywa się „krzykiem“ — znacznie osłabiają siłę fikcji artystycznej i dlatego najbardziej rozbudowana ideowo „Ręka gromady“ stoi już na pograniczu nudy.

Goździkiewicz stara się uchwycić zasadnicze przemiany w życiu wsi. Chociaż treściowo obie nowele związane są z ruchem spółdzielczym nie wydobywa go autor nigdzie na pierwszy plan. Dla autora „Wyżynki“ ważna jest nie tyle instytucja, która posiadała zbyt krótkie ręce, by przebudować życie ekonomiczne kraju, co fakt, że za jej pośrednictwem kształtują się **nowe cechy psychiczne**, potrzebne do wyjścia z impasu warstwy chłopskiej. W każdym bohaterze nastąpiło jakieś drgnienie duchowe, niezauważalny przełom, po którym dusza wzbogaciła się o nowe wartości, świadomość życia wewnątrz zbiorowości, poczucie odpowiedzialności wobec grupy, podporządkowanie interesu własnego — ogólnemu („Śledzie“ i „Gorący dzień“) naodwrot gruba poczucia się powołana do opieki nad jednostką („Ręka gromady“). Tak z jednej jak i z drugiej strony nie jest to jakiś franciszkański idealizm, ale świeżo rozbudowana chłopska świadomość, że w ten sposób łatwiej jest wędrować z „Wyżynki“ na wyżynę.

* * *

Recz w tym, że prozaik stał przed faktami, które wiele mówią dla polityka, czy historyka socjologa lub ekonomisty, i Goździkiewicza nawet one poruszyły. Ale zrozumienie współczesnej rzeczywistości wiejskiej i odsłonięcie tego, co ona oznacza, udało mu się w tych tradycjach pojęciowych i artystycznych które najgłębiej mogły sprostać zadaniu. A te tradycje — że raz je jeszcze przypomnimy — to:

- 1) Literacka — dramat „Halki“ i „Janka Muzykanta“; pojęciowa — filantropijno-moralistyczne dbanie o godność jednostki z niższych warstw tak właściwie dla tej inteligencji, jaką krytykuje w „Rodowodzie społecznym inteligencji polskiej“ J. Chałasiński.
- 2) Literacka — bajka o wygnanym z domu Jasiu, wznowiona przez Konopnicką na materiale wychodźstwa chłopskiego u schyłku w XIX; pojęciowa — to samo filantropijne czuwanie się nad ciężką dolą chłopca-czowieka, bez szukania dalszych przyczyn społeczno-ekonomicznych i konsekwencji ustrojowych.
- 3) Literacka — „kochajmy się bracia“, jaką u Fredry znamy z „Zemsty“ („Zgoda, zgoda a Bóg wtedy rękę poda“), jaką Prus odnawia w „Placówce“, kiedy pogorzelałowi ślimakowi sąsiedzi znoszą co się da, pod przewodnictwem księdza. Z konwencji tej nie wyłamuje się i spółdzielnia Goździkiewicza. Wpisany w nią jest nie projekt nowego ustroju społecznego, ale projekt idealnej moralności zbiorowej, która nie wie i nie bardzo chce wiedzieć o ustrojach.

Pojęciowo Goździkiewicz obraca się w kategoriach myślenia inteligenta uwrażliwionego społecznie w stylu bohaterów Żeromskiego.

W wyniku pisarz rejestruje jakoś zaszczytne zmiany na wsi polskiej po roku 1930, ale to co zauważa pozostaje pod jego piórem niejasne, niedomówione i nierozstrzygnięte: pozostaje bowiem wrażenie, że wieś dąży do społecznego skupienia się, do uzależnienia jednostki od grupy i dbania o jednostkę jako członka grupy. A taki obraz mógłby mieć miejsce na wsi polskiej i przed 50-ciu laty i przed 100-tu. W dużym stopniu pozostał dla Goździkiewicza nieznanym **mechanizm historii** lat międzywojennych, sił społecznych i struktury ekonomicznej, jaki wówczas uspołecznienie się wsi wytwarzał i treści tego uspołeczniania.

Goździkiewiczowi — pisarzowi nie przyszedł w pomoc ani Goździkiewicz — działacz polityczny tak, jak to było w pisarstwie Andrzeja Struga, czy Władysława Kowalskiego, ani również Goździkiewicz — badacz, socjolog i ekonomista. W realistycznej prozie, biorącej za przedmiot obrazki z życia określonego środowiska, wiedza działacza i naukowca nie zastąpi wprawdzie talentu, ale jej brak zmniejsza wartość talentu. A kto wie czy nie są one pewną (i napewno wyższą) formą talentu, warunkiem jego „wrażalności“.

W OSTATNIM 23 (102) NUMERZE

„WSI“ z dnia 8 czerwca 1947 roku

Ksawery Piwocki — Rola sztuki ludowej w dzisiejszej kulturze; **Helena Brodowska** — Drogi inteligencji polskiej; **Jan Marszałek** — Nutki nabożne; **Stanisław Paleczny** — Pasterczka; **Józef Pogon** — Żywot „pożytecznego“ dla wsi; **Adolf Kotarba** — Przez czarne okulary; **Leonard Sobierajski** — Zielenia ojczyzna; **Henryk Syska** — Idą chłopcy do świata; **Piotr Chmura** — W gorach i na roli; **Hieronim Kominkowski** — Jubileusz prof. Heleny Radlińskiej; **K. Borzecki** — Czy „nowa postawa“ jest całkowicie słuszna?; **Paweł Kubisz** — Znam tylko jeden śląsk (fragmenty utworu dramatycznego p. t. „Legenda wydziedziczonych“); **Lech Budrecki** — Z okien folwarku; **Józef Kapuściński** — Struktura jednego powiatu; **Stanisław Witowski** — W dostatkach; „Kto jest chłopem“; 4 ilustracje, komunikaty, 8 stron.

*) Teodor Goździkiewicz „Wyżynki“ — Księgarnia Łowicka — Nauczycielska Spółdzielnia z odpowiednimi udziałami — 1946.

Władysław Dunarowski

KUKUŁKA I SZPAKI*)

Fragment

— Babko, byliście wy kiej na samym szczycie Mogielnicy?

— Coś ci ta strzeliło do głowy? Należy wody do żeleźniaka, bo pryska. Jaką ty masz tę głowę? Ze szkoły wnet wyjdiesz, a nic nie znać po tobie... Pod sprawościami, że nic. Na Mogielnicy czym była? Możem ta i była. Nie pamiętam.

Stuknęła mocniej krosnami. Bo nieprawda z tym niepamiętaniem. Tak się jej tylko powiedziało. Dosić się nalatała po Mogielnicę i sąsiednich górach, gdy Feliks tam pasał przez lato. Latała na grzyby, na jagody, jedzenie nosiła braciom, którzy tam drzewo rąbali — a zawsze tak się jakoś składało, że z Felisem się uwidziała. Od tego do tego, aż zaniesli na zapowiedzi. Potem działo się wszystko zwyczajnie. Zaczęli gazdować i we dwojkę pehać swą dolę. Tylko że nie bardzo było na czym gazdować. Więc po roku wyjechał Feliks do Ameryki, gdzie spędził sporo lat w huk i jazgocie jakiejś stalowni. Wrócił głuchy z dużymi ranami na nodze, które stale się odnawiały, ale dolarów coś przywiózł i grunt dla dorastającej córki kupił. Gdyby był piśmienny, przywiózłby tych dolarów znacznie więcej. Cóż miał począć, że trafił na kolegów, którzy go wykorzystywali w bezlitosny sposób. Każde przeczytanie listu z kraju, napisanie od siebie, musiał opłacać gestymi poczęstunkami. Jak było się bronić? Więc potem podwójnie harował, podwójnie oszczędzał, bo grunt do kupna miał upatrzony.

Po kilku latach znów trzeba było wyjechać za morze, do tej samej stalowni, bo dzieci się skądś nabrało, więc dla nich o gruncie też trzeba było pomyśleć. Póki sił starczy. Póki człowiek trzyma się jako tako. Gdy wrócił trzecim razem, był już dziadkiem — a babka — babką. Na Mogielnicę rzadko które spozierał, choć sterczała ku niebu przed ich oknami.

Za to Hanusia noskiem rozgrzała szybę i spoglądała w tamtą stronę, ku Mogielnicy, gdzie w jednym ze stu parowów jest jej dom, w którym matka także tka płótno, a siostra robi swetry na zarobek. Gdzie brat Jasiak... No co do Jasiaka nie jest pewna, czym jest zajęty. Może szewcuje... Tak mało go pamięta. Przez całą wojnę tylko z partyzantami trzymał, w domu nie usiedziało ani chwili, to też nie dziwnego, że Hanka zaczęła go uważać za obcego. Dziś las pusty i cichy. Jasiak pewnie w domu siedzi, ale Hanka poszła do babki, aby być jej wyręka, i nic nie wie, co się tam dzieje.

*) Fragment noweli „Kukułka i szpaki”, jest wycięty z tomiku II Biblioteki Popularnej Tygodnika „Wieś” p.t. „Zachodni wiatr”.

O ojcu wspomniała sobie na samym końcu. Bo to najsmutniejsze. To przecież tak niedawno było. Ktoś doniósł, że Niemcy robią obławę za partyzantami. Ze z dwóch stron otoczą Mogielnicę. Widać niemieckie szpicle wywyszyły, bo nie sposób, żeby swój zdradził.

Więc Andrzej pośpiesznie usuwa z obęścia to wszystko, co mogłoby go zgubić. Zapasy żywności, broń, koce... Dużo tego. Samych granatów wór ciężki. Ach, te granaty!

Wieczorem wpełzł do chaty na czworakach poszarpany ludzki lachman z wypłniętym okiem, z urwaną stopą i tysiącem mniejszych ran, silnie brocząc krwią. To był Andrzej. A Hanka nie poznała swego ojca.



rys. St. Cielech

Teraz Andrzej jeszcze bardziej musiał się kryć, dopóki nie pozdrowiał mało wlecia. Bo potem już nie potrzebował się bać niczego: ani szpiclów, ani obław, ani łapanek na roboty, ani wszystkich szwabów razem. Niczego, Tak, niczego się nie lęka, ale i nic go już nie cieszy. Ożywił się nieco na wiadomość o zupełnej klęsce Niemiec i pokoju, lecz nie na długo. Bo potem przyszła jeszcze większa apatia. Czasem dla rozveselenia zakuśtykał aż do babki. Trza się przecież czasami przewiedzieć, jak się tam jego Hanka sprawuje.

Lecz babka wnuczkę chwali, a jego zasypuje pretensjami. Bo czy potrzebne to było? Sam zdrowie stracił, dzieci nie odchował, a i gospodarka skapieje do cna.

Andrzej milczy. Cóż tam babce tłumaczyć, co było potrzebne, a co nie? Deklamować o Polsce, Ojczyźnie, poświęceniu, nie umiał. A dlaczego brał udział w tym wszystkim, co się potajemnie tu działo, a czego najlepszym świadkiem była Mogielnica, tego zdefiniować nie potrafiłby ani wtedy, ani dziś. Było coś takiego w powietrzu, w ziemi, w sercu i w każdym oddechu ludzkim, co nakazywało niszczyć Niemców na każdym miejscu, wszędzie. On się temu głosowi nie sprzeciwiał. A że przy tym siebie tak nadwyreżył... A no przez własną nieostrożność najwięcej. Choć w tym pośpiechu... No, dobrze że się tak skończyło. Mogło być dużo gorzej. Ile ich tam leży na Mogielnicy, to tylko on coś o tym wie. Nacięte krzyżyki na starych pniach i inne znaki wskażą drogę do tych, po których ślad już rozplynął się w wirze wielkich wydarzeń.

Babkę trochę wzruszył wygląd Andrzeja, jego smutek w pozostałym oku, ale mimo to marudzi.

— Widzisz, żebyś był jak inni, tobyś tu nie styrcoł na tej jałowiznie, ale byś pojechał z innymi na owe grunta, jakie dają na Zachodzie. Nie, wierzyć się nie chce, żeby to była prawda. Bo jakże? Całe grunta, budynki i wszystko? Mocny Boże! Mój stary trzy razy się włókł do Ameryki, zdrowie stracił i ledwie tych paręnaście morgów dokupił, a dziś bez niczego... Całkiem się mi w głowie miesza, jak myślę o tym. Jemu dochodzi dziewięćdziesiąt, mnie idzie na siedemdziesiąt ósmy rok, a z tego razem byliśmy ledwie parę lat. Bo czasu, jak wrócił trzecim razem, już nie rachuję.

Andrzej roześmiał się, babka syknęła ze złości. Potem jeszcze dodała:

— Z ciebie, kiej cie tak oporzadzili, też baba pociechy mieć nie będzie. Widzi mi się, że ty a mój stary — nie wielka różnica?

Właśnie dziadek wszedł cichutko do izby, a zobaczywszy Andrzeja, ucieszył się serdecznie.

— Dobrze, żeś przyszedł. Zwicnąłem se rękę, a nie mam nikogo, żeby mi trochę naciągnął. Jak cię proszę... ino mocno pociągnij!

Babkę denerwuje to ciągle gadanie o zwicnięciu ręki. Gdzieżby zwicnięcie powtarzało się co parę dni.

— Nie bądźże, Jędrus, cudokiem i staro nie słuchaj. Zwyczajny rymatys przywiózł z tej Ameryki, a plecie wciąż o zwicnięciu. Powtarzam mu nieraz i mówię do rozumu, ale on swoje i swoje. Kto ino się nabliży, każdego molestuje, żeby mu rękę naciągnął.

— Mojeśty, nie słuchaj jej, bo ona nic nie wie. W nocym se zwicnął i dobrze pamiętam, kiej to było. Jeszcze mocniej pociągnij, jeszcze... o! No, może mi nalży. Bożeś ci zaplać.

Staremu zdaje się, że ów nowy ból przysłoni tamten; a gdy ustanie — to niezawodnie razem ustana. Z tej radości gotów opowiedzieć coś ze swych przeżyć w Ameryce. Dowiaduje się jednak, że większe nowiny przynosi Andrzej. Bo ani razu nikt nie gadał, że Jasiak ma zamiar jechać na grunta. Inni jeździli na przepatry, wracali, znów odjeżdżali, ale Jasiak siedział i nigdzie się nie ruszał.

— Kawalerom przecież nie dają gospodarstw — wtrąca się babka.

— Przecież jest w latach, to nie trudno zaradzić temu, żeby nie był kawalerem. Transport odjeżdża za tydzień, w tym czasie dużo można zrobić. Książd nie robi trudności, to reszta też pójdzie gładko.

Znowu dużo dopytywania, z kim się Jasiak żeni, co bierze, kiedy wesele. Andrzej jest w kłopotcie, bo właściwie to nie wie, z kim się syn żeni. Więc zastania się dyplomatycznymi niedomówieniami, że to niby jeszcze nieugodzone, że niewiadomo.

Po prawdzie to jego mało przejmują całe wesele. Dawniej było co innego; od tego kroku zależał cały los. To też dokładnie badano, czy te jej morgi warte są uprawy, czy z nich wyżyje, pilnowano każdej pozycji przy zapisach. Dziś to nieważne. Jasiak dostanie grunt z budynkami, więc niech się żeni, z kim chce. Byle dziewczyna była robotna, bo tam na tyłm gospodarstwie lenić się nie można.

— Święta prawda, robotna musi być — przytwardzają oboje. A nie wiesz, daleko to stąd?

— Nie bardzo. Od Krakowa jeszcze drugie tyle.

Więc uznali wszyscy, że istotnie niedaleko. Nie żadna ukraiina. Nawet przez morze nie trza jechać. Swój kraj.

Babka ciężko westchnęła i spojrzała na starego. A potem rażno zabrała się do krosien.

Bronisław Kamiński

Z poematu „Paweł Wójcik”

VII

Co niedziela cała wieś była w kościele — bogatsi w butach a biedni boso, pan dziedzic z gajowym na czele i Pan Bóg w niebiosach.

Potem siedział wójt i bogatsi gospodarze, kobiety ubrane w kiecki pstrokate, na końcu trochę niedzarskich marzeń i Paweł odziany w latę.

Mały kościół zakwitał dzwonem na wieży i rozbrzmiewał chłopskim śpiewaniem, a Chrystus męki nie przeżył i umarł przed świtaniem.

Władysław Milczarek

Syn Cieśli

Wiejski poemat o Bogu (fragment)

Stary cieśla wioskowy
ot zwyczajny samouk
wyciął bóstwo pokraczne
w białym klocu lipowym.

A że Boga nie widział,
z książek też się nie uczył,
więc tę świętość wystrugał
z swoim chłopskim obliczem.

Rozkrzyżował mu ręce
spracowane, zylaste;
nie gniewajta się Boże,
boście ze wsi nie z miasta

A gdy świętka przybił
na dębowym, na krzyżu,
spomniał sobie w dzieciństwie
zastyszane pacierze.

Jeno cieśla się smucił
i miał w wargach pacierze:
przebac, przebac im Boże,
bo nie wiedzą co czynią.

— Widzę, że strasznie pilnujecie roboty. A przecież wam nie nowala.

— Co ty mówisz. Wiosna już, już, a kiej pokończy wszystko?

— Po co żeście tyle naprzyjmowali?

— Ano widzisz... ten prosi, ten prosi. Zreść jużbym miała gotowe, żeby baby lepiej przedyły. Ale że nici wciąż się rwia...

— Mówicie: nici się rwą... Za to wiosna u was lada dzień. U nas jeszcze śnieg, zaspę miejscami na chłopca.

— Tak jeszcze u was? Nie dziwota. Mogielnica zastania, duży cień... Ale jak ruszy, to ruszy.

Wreszcie ruszyła. Od paru dni wiosna. Więc wszystkie kłopoty maleją i nikną. Babka nie narzeka, a Hanka wełny nie skubie. Radosna zmiana. Pochylone nad warsztatem plecy babki grzeją się przy wiosennym słońcu. Bury kot bawi się na podłodze nitką z ostatniego motka.

A potem tysiące spraw innych. Warsztat tkacki idzie na strych, a babka gałęzią choiny omiata ściany z kurzu. Potem obmywa obrazy, wyciera stary zegar z kukułką. Przy tym musiała nacisnąć jakąś sprężynę, bo ptaszek wyskoczył, nawet kiwnął się parę razy, ale głosu wydobyć nie mógł. Kobiecinę wielce to rozrzewniło.

— Widzisz go! Co on se myśli? Myślałam, że już całkiem zepsuty... Ty, stary, kiedyś ty go przywiózł z Ameryki — za pierwszym czy drugim razem? Pewnie nie pamiętasz...

Dziadek nie nie odpowiedział dlatego, że nie słyszał, co do niego mówiono. Dziś ręką sobie dziwnym trafem nie zwicnął, ale za to ogłuchł jeszcze bardziej. To też ciężko się z nim dogadać. Dłubie coś przy oknie, próbuje otworzyć. Do izby wpada zapach gór i wiosny.

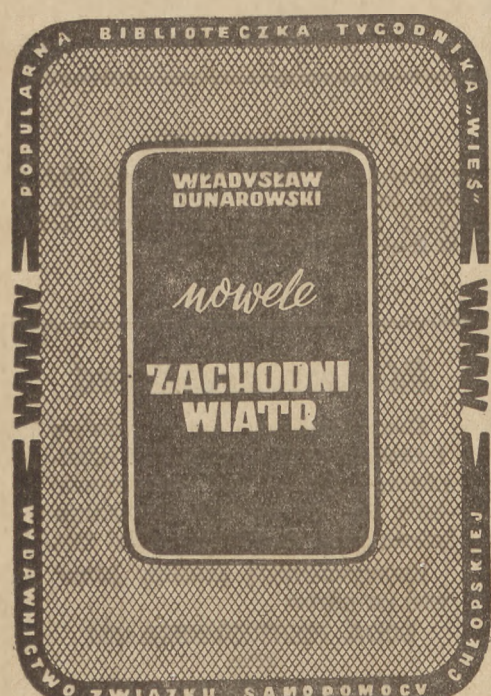
Babkę jakby oczarował ten dzień. Kręci się, biega, wszędzie ją słycać, choć wcale nie jest zła. Po prostu króluj.

— Hanuś, kraj ziemniaki do sadzenia. Dziadek, ruszaj do kuźni. Zawsza trzeba naostrzyć brony i plug. Uwijajcie się! Wiosna!

Hanka jakby nie słyszała. Babka o tym, a ona o czym innym.

— Babko, już bażki ziołą się na olszynach. Widzieliście? Babko, szpaki na gruszy za stołową się ściela...

Babka chojną odpęda ją do roboty. Sama też wzięła się do krajania. Do koszuw spadają połówki, ćwiatki — byle z oczkiem. Bo właśnie w tym oczku kryje się cała tajemnica życia. Z kuźni zalutuje metaliczny dźwięk żelaza. Cała wieś tętni przedziwnym rytmem wiosny.



W ramach „POPULARNEJ BIBLIOTECZKI TYGODNIKA „WIEŚ” ukazały się już dwa tomiki nowel:

1) Józefa Pogana

„DEKRET NIEBIESKI”. „BIEDNY I BOGATY” cena 20.— zł

2) Władysława Dunarowskiego

„ZACHODNI WIATR” cena 40.— zł

Oba tomiki zamawiać można w Administracji tyg. „Wieś” — Łódź, Piotrkowska 133, wpłacając należność (do kasy Administracji lub przekazem pocztowym na konto:

Łódź VII — 1080

Piotr Chmura

M a j o w a l i t a n i a

Głos pierwszy: Będzie nieurodzaj latoś. U nas w lubelskim ożimina wymarza w niektórych powiatach w 60%. Od wiosny posucha do reszty wyniszczy zboże.

Głos drugi: Ziarno poszło w górę. W tym roku 800 zł. — metr, teraz 300 zł. a u nas w Warszawskim dochodziło w maju nawet 6.500 zł.

Głos trzeci: Bój się Boga! To u nas w poznańskim nie przekroczyła cena na żadnym jarmarku 2.600 zł.

Głos czwarty: Ale nie zaprzeczcie, że od was na inne województwa rozwoją spekulanci. A do Niemiec nie poszło od was za 5 milionów zł. masło? Kto sprzedawał szmuglerom i podbijaczom cen, nie wiedział dokąd to idzie?

Głos pierwszy: Od nas z lubelskiego, mało, że nieurodzaj a sporo zboża popłynęło za Bug po 11, nawet 15.000 zł. Bandy ukraińskie mają lepszy od nas wch. Zaopatrują się za pieniądze z sobaczych źródeł nadsyłane. Jaka u nas jest chłopska dyscyplina gospodarcza? Wypychamy z kraju zboże. To co będzie? Rząd zakupi zagranicą zboże, a za co? — Za towary przemysłowe. Zamiast na wieś pójdzie precz z kraju. Za pozostałe, w zmniejszonej ilości, będziemy płacić drożej. I kto kupi — ten co na kontrabandę się puścił. Ze wsi bogaty chłop drogo sprzeda zboże, drogo kupi towary. A biedny?

Głos drugi: A wiecie, u nas wojewoda chłop, tak zrobił. Podatek gruntowy dośrubował. A wykup zboża i kartofli przekazał tylko spółdzielniom i uspołecznionym punktom zbiorczym. Są rezultaty, przez pół maja cena za metr spadła do 3 tys. zł.

Głos piąty: To macie rację. Bo jak dotąd „spółem“ panuje nad rynkiem zbożowym tylko 20%, 70% jest w rękach prywatnych kupców. A ci wyprawiają cuda. Sieją panikę. Mobilizują ludzi do robienia zapasów. Jedni gromadzą w nadmiarze, drugim brakuje i bliżej im nadto rosnące ceny. Ho, ho, spekulanci są pierwszymi od zapasów. Prawda jest, że ceny towarów przemysłowych i państwowych bardzo się podniosły z wiosną. Spekulantom w to graj. Chcą stworzyć wrażenie inflacji. Na podniesionych cenach przemysłowych podnoszą cenę zboża. Przepłacają licząc na nieurodzaj. Toczy się walka o to w których rękach będzie zboże. Jeśli w ich, to państwo i wszyscy lepiej sytuowani wykupują będą po cenach paskarskich wolnego rynku. Państwo będzie chciało zaopatrzyć załogi fabryk i biedotę wiejską. Wielkie zdzierze sumy przewyższą jednak możliwości funduszu państwa. O to właśnie idzie tym siłom, które zagrały teraz na dywersji gospodarczej i podsycają ambicje rynku klasy spekulanta, dając jej jakoby patriotyczne zadanie do spełnienia. Uderza się zatem albo w budżet państwa, żeby się zakamatał, albo w robotników i biednych chłopów, żeby zagrożeni widmem głodu odruchowo powstał przeciw nowemu porządkowi.

Głos szósty: Ale trzeba też chłopów zrozumieć. Skoro ceny za towary przemysłowe podniosły się, to ludzie na wsi „odczekują“ ze zbożem. Wiele też potraza będzie wziąć za ziarno, aby skalkulować równo z artykułami przemysłowymi?

Głos siódmy: A ja wam powiem jeszcze jedną przyczynę. Nie ma na cały rok wyraźny rozłożony plan wymiany co kiedy i ile przyjdzie od przemysłu. To chłop tak: wziąć tego, co najpierw dają, większą ilość albo może wcale nie wziąć i poczekać na te rzeczy, które im się widzą szczególnie pilne. I w ten sposób zapas zboża jest dawkanany w wymianie i w rezultacie odkładany do zbytu.

Głos ósmy: Ja jeszcze jedną widzę przyczynę: Zapomnieliście, że w nowej Polsce chłop uwolniony został od przedwojennego zadłużenia bankowo-hipotecznego. A to był co roczny bicz na sprzedaż zboża na pniu. Tylko bogatsi mieli jeszcze zapasy do jesieni. Teraz tego musu naglącego nie ma. Stąd zator w wymianie, w wysprzedaży. Podatek gruntowy przysrubowany wypchnie zboże na rynek. Tylko, żeby bogaty chłop się nie wykupił łapówką, bo ma biednym się skrupi. Komisje powinny być z najuboższych.

Głos piąty: Otóż to. My nie rozumiemy, co to znaczy „życie gospodarcze“. Ono nie może mieć przerwy i nagromadzeń. Towar i pieniądz winny chodzić od producenta do konsumenta. Podatki są w większości nasze, idą na samorząd i najczęściej wyżej nie wychodzą, jak do województwa. To nasz terytorialny kapitał inwestycyjny. Wypchnięcie zboża w dużych równoczesnych dawkach daje nam kapitał w obrót gospodarki samorządowej, czyni jej budżet realny a plany w kolejności rzeczy wykonalne. Kiedy się ten porządek podatkowy, a na rynku konsumcyjnym — zbożowy, zahamuje, wszystko djabli biorą: gospodarka nasza i kraju całego ponosi straty na rzecz tych łowców w mętnej wodzie, którzy tylko na te zatory czekają i sami je robią paniką stwarzając i potęgując. Dam wam przykład na naszych artykułach rolniczych. Tytoń. Czy wiecie, że koszt produkcji u chłopów, jego opłacenie, zwózka i przerób równa się w sumie 6 miliardów złotych? A ile myślicie wynosi suma zł. za rozsprzedany tytoń? — 12 miliardów. Dwa razy więcej. Kto to zagarnął? Ani państwo, ani chłop. Oni... Cukier. Chłopi producenci wyciągnęli 6 miliardów, 2 miliardy (1/3) pośrednicy. Krótko mówiąc, ażeby od przykładów nie odejść, pół Warszawy trzusi się handlem. Z tym żerowaniem trzeba skończyć. Za mało bowiem jest produkujących, za dużo żyjących z przeniesienia towaru od pra-

cującego w pocie czoła chłopu do umęczonego robotnika.

Głos trzeci: Ja was słucham i myślę sobie: no dobrze, a jak nie jechać w górę z cenami na nasze zboże, kiedy towary przemysłowe drogie?

Głos pierwszy: To ja wam powiem. Ja mam w pamięci nasz nieurodzaj lubelski. I długo nad tym myślałem. Brak zboża to nie tylko nieszczęście dla miasta, dla chłopów również. Popatrzcie, jak jest z hodowlą. Pięknie się rozwijała, w niektórych województwach większa dziś nawet, jak przed wojną. Ale co się nie dzieje, metr żywności nierogacizny kosztuje obecnie dwa razy mniej, niż metr żyta. Co to znaczy? Sztuczni podbito zboże, przecie to zboże siedzi w świninach, ale świnia okazuje

się nie warta, a ziarno znaczy. Tym sposobem, rzeczywicie uderzy się w hodowlę, zniszczy się ją. Gdzie tu jest sens, gdzie planowa gospodarka? Co za skoki? Chleb droższy od mięsa? Komu na tym zależy? I kiedy o tym wszystkim myślę, dochodzę do jednego: Musimy się rozprawić ze spekulacją w pośrednictwie. Towary przemysłowe podniesioną mają cenę ale się zatrzymają na stałe. Gdzie szukać wyrównania dla naszych artykułów? W obniżce cen przemysłowych? Nie! One reprezentują sektor zorganizowany — wyznaczają zatem w połączeniu z polityką finansową, również planową — normiernik towarowy. Ja wiem, że skoro towarów nie ma dość do nasycenia pełnego zapotrzebowania kraju, miernik ten jest wyso-

ki. Zniżyć go albo raczej dorównać mu to sprawa naszego wysiłku produkcyjnego w latach najbliższych i dalszych. Ale jest jeszcze jedno — ważne dla nas chłopów. My musimy dorobić niskości naszych cen do marży spekulacyjnej. Będzie to podwójny zysk. Dla nas wszystkich: wyrównanie, normalizacja życia gospodarczego. Aby nie było takich dziwactw: że ziarno — to złoto, a wieprzowina to g...

Głos piąty: Ano odpowiedzieliście za mnie. Dodam tylko tyle, bo trza to wiedzieć. Produkcja naszego przemysłu w ub. roku przyniosła na 10% zysku na sumę 350 mil. złotych, a naszemu handlowi prywatnemu na sumę miliarda zł. W Łodzi finansisci prywatni gotowi są założyć hurtownię żelaza, dają zaliczki 5 mil. zł., za hurtownię tekstylną milion zł. Co wy na to? Jak nie zarobią 100, 200, a nieraz i 1000% to kapitałów nie ujmą. Oto nowy obraz ujmowania życia gospodarczego. Albo nie inwestowanie go, albo zdzieranie — nas, chłopów i robotników. Bunt to my potrafimy zrobić. Rewolucję raz już zrobili i poprawić ją możemy, ale na kontrrewolucję złapać się nie damy!

Czy nie taka?

Z racji wydania 100-go numeru, odbyła się w lokalu redakcyjnym „Wsi“ skromna uroczystość na którą przybyło kilkudziesięciu współpracowników terenowych z różnych stron Polski, aby pogwarzyć z sobą, już nie za pośrednictwem pisma, ale bezpośrednio.

Wznowiono szereg dyskusji, prowadzonych w ciągu poprzedniego i bieżącego roku, m. innymi także i dyskusję na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś“? Wzięli w niej udział prawie wszyscy ci, których wypowiedzi zamieszczała „Wieś“ w ciągu ostatnich miesięcy.

A oto przebieg dyskusji:

MARIAN CIEŚLAK z Poznania:

„Znikają barwne stroje ludowe na korzyść modnej szarzyzny ubiorów miejskich, jedwabnych pończoch, kapeluszy i modnych sukien; coraz rzadziej tańczy się na wsi mazurki, kujawiaki i krakowiaki, zjawia się natomiast tango, fox-trott i Bóg wie co jeszcze, coraz rzadziej słyszy się gwara ludową, którą zastępuje ochydlony żargon z ulicy, znikają dawne piękne zwyczaje, zwycięża na całej linii prąd płynący z miasta, „cywilizacja“ w najbrudniejszym tego słowa znaczeniu. Należy temu zapobiec. Należy chłopu... ukazać piękno tradycji i staropolskich obyczajów, ukazać piękno pracy na roli i wzbudzić w nim poczucie godności własnej i dumy z tego właśnie zajęcia, które przecież starożytni nazwali jedynym zajęciem godnym człowieka wolnego. Należy wreszcie otworzyć oczy na piękno wsi polskiej, na przemożny a nie przemijający czar polskiej przyrody, która chłopu zewsząd otacza...”

Skłonny byłbym raczej opowiedzieć się za powieścią zmyśloną. Jej fikcja tkwiłaby w samej koncepcji bohatera, w jego szlachetności, i siłę dalej tkwiłaby w optymistycznym poglądzie na świat i życie, tkwiłaby w interesującej i bogatej w wydarzenia treści, wreszcie w samym zasadniczym charakterze dzieła. Nie należy zapominać, że główną funkcją powieści jest przyniesienie czytelnikowi rozrywki. A rozrywka polega na oderwaniu się od codziennej, szarej rzeczywistości. Winna więc książka przenosić w inny świat, lepszy od tego codziennego, piękniejszy i bardziej wartościowy.

A pozatym winna krzepić, dawać wiarę we własne siły i ufność w zwycięstwo dobra.“

STEFANIA GŁUSZCZAK z tarnowskiego:

To bardzo piękne co mówicie! „Powieść ta powinna opisywać przede wszystkim życie wsi tylko nie bardzo rozwlekłe, bo by znudziła czytelników. Nie trzeba pominąć opisów przyrody, życia, nastrojów na wiosnę i w lecie, szczególnie takiego okresu, jak maj ze swoimi pięknymi wieczorami... Lecz nie ogólnie lecz szczegółowo wszystko to przeplatając niemiłymi, kochania się młodych serc. Akcja powinna być dosyć ciekawa, zagmatwana, ale grunt żeby skończyła się ładnie, osiągnięciem szczęścia przez bohaterów. Powieść ta powinna zawierać coś pouczającego, aby czytelnicy mogli odnieść z niej jakąś naukę szczególnie co do ziemiennia się.“

... Bohaterką tej powieści zamiast hrabiny, niech będzie skromna, biedna dziewczyna wiejska, albo jakiś Jaś (spojrzenie w stronę Red. Nacz. „Wsi“), czy Waluś, albo inny chłopak wiejski. Akcja niech będzie trochę przez autora zmyśloną, byle tylko nie przesadnie. Dwoje wiejskich ludzi kocha się wzajemnie. A więc poznanie, schadzki miłosne, przeszkody do zawarcia małżeństwa, sprzeciw rodziców, ktoś umyślnie szkodliwy, jakaś rywalizacja, zazdrość..., dziewczyna udaje pannę z miasta...”

JÓZEF SABURA z Gdyni (najwyraźniej „wzbudzony“).

Dosyć tego gruchania! W powieści jaką sobie wyobrażam powinny być „miejsce podania, legendy, zwyczaje... Wesele, chrzciny, pogrzeb, strój, tańce, gwara, śpiew, muzyka, takie momenty jak: orka, siano kosy, żniwa, kopanie ziemniaków, musi być wieś kwitnąca znojem, dojrzająca latem i syta jesienią, wieś śpiąca zimą, budzona skrzypem studni, żyjąca w dzień pracą codzienną, spędzająca wieczór w izbie na opowieści, przedzeniu lnu, wełny, skubaniu pierza. Wieś strojąca się w odpuść do kościoła, idąca w kompanii na Kalwarię, do Częstochowy. Wieś mówiąca zwięźmielnie dzwonów rezurekcyjnych i kołatkami wielkiego postu...”

FRANCISZEK PIĘTAK z Wielowsi k. Sandomierza:

„Jeśli idzie o książkę, to mam na myśli powieść przedstawiającą życie na wzór życia bohaterów: Franków-Rakoczych, doktorów Judymów, czy Ślimaków — powieść która by wychowywała społecznie i twardo pokolenie, które ma przyjść i żyć na tej mowie wsi...”

Pragnąłbym bardzo, by któryś z chłopskich pisarzy stworzył wielką, bohaterską epopeję chłopską, na wzór Sienkiewiczowskiej Trylogii... Chciałbym bardzo, by w tego rodzaju powieści bohaterem był partyzant, syn chłopu, w którym by się wszystkie zalety zeszyły: patriotyzm, walka o swoje prawa, żądania chłopskie, wreszcie bezwzględna walka z okupantem i miłość do swej wybranej na wzór Kmicica z „Potopu“.

GĘBALA STANISŁAW z Zabrza nad Sanem:

„Nie żałujcie drwiny z niedołęstwa, oburzenia na krzywdę i nie żałujcie hymnów dla odwagi i poświęcenia i ideaowej wiary, ale nie twórzcie broszurowych mitów o tym, co działo się wczoraj, bo ta wczorajsza rzeczywistość znana jest chłopu dobrze, bo on ją sam w dużej mierze tworzył i swego chłopskiego czynu nie pozwoli nazwać cudem. Uwydatnijcie jak najwyraźniej etapy chłopskiego postępu ku pełnemu człowieczeństwu, wytyczcie pole drogi na przyszłość, a dzieła wasze iść będą z rąk do rąk, aż do zupełnego zdarcia i do nowych wydarzeń.“

WŁADYSŁAW GAŁĄZKA z Bartoszewic (w stronę Mariana Cieślaka).

„Co do powieści zmyślonych, tośmy powinni raz na zawsze z nimi skończyć. Wiemy przecież, że to co jest zmyśnione, nie zawsze jest wykonalne i dające się zrealizować. A więc skoro nie dające się zrealizować, pocóż komu niepotrzebnie zaprzętać głowę, kradnąc mu w ten sposób czas“.

LEOKADIA MARCINIAK z Gałkówek:

Chciałabym tu podać „zagadnienia z projektowanej powieści i opisy: 1) Charakterystyka wsi rozbudzonej, tworzącej, uspołecznionej, z kontrastowym uwytknieniem jednostek społecznych i zacofanych... Spółdzielnie na wsi, organizacja gospodarza, ośrodek zdrowia i t.p. Szkoła... prace samorządu gminnego i gromadzkiego, ich możliwości w ulepszeniu życia gromady, rola wójta... 2) Wysiłki młodzieży wiejskiej w osiągnięciu wyższego wykształcenia. Ciężkie warunki codziennej komunikacji. Złe warunki materialne. 3) Wartość kultury ludowej i ścieranie się ich z wartościami kultury miast (cywilizacja), nieuchronnie ginącej regionalizm... 4) Rola świetlicy na wsi. Jej promieniowanie kulturalne i cementowanie gromady. Metody pracy i samokształcenie, teatr ludowy, śpiew i muzyka. Możliwość współpracy nowoczesnej świetlicy z kościołem“.

STANISŁAW SARAMA z Łodzi:

„Bezwzględnie zareaguje chłop na powieść o nim samym. Najbardziej zaciekawo go historia rozwoju materialnego, kulturalnego czy politycznego wsi. Dajmy mu do ręki cykl powieści obrazujących rzeczywiste życie wsi w rozwoju dziejowym z uwzględnieniem wszystkich zmian i przeobrażeń, jakie przechodziła wieś od czasów najdawniejszych, do dni dzisiejszych. Dajmy poznać chłopu jaką siłę i potęgę posiada element wiejski w naszych warunkach... Wskażmy chłopu zdobycze cywilizacji i nauki, nauczmy go korzystać z nich uodwodnijmy mu, że kosztą np. przeprowadzenia linii elektrycznej do jego wsi, stokroć mu się z biegiem czasu opłaca. Pokażmy mu na przykładzie życie wsi nowoczesnej, korzystającej ze wszelkich zdobyczy techniki... Niech nasza wieś wyjdzie wreszcie ze swego przysłowiowego błota, spod historycznych słomianych strzech. Niech powieść będzie dla niej podręcznikiem udoskonalonej uprawy roli, hodowli bydła i drobiu, warzywnictwa, niech mu wskaże dobrodziejstwa, i korzyści wypływające z założenia w jego wsi — spółdzielni“.

Dyskusja potoczyłaby się zapewne dalej, gdyby nie poprosił zebranych Red. Naczelny, na kieliszek zieleniaka. Przewodniczący spytał więc tylko, który z dyskutantów uznaje się za przekonanego i rezygnuje z zajęcia w sprawie powieści dla chłopów — stanowiska. Podniosły się ręce Stefania Głuszek, Józefa Sabury i Mariana Cieślaka.

zebrał Wiesław Jajdziński

KONKURS

na ankietę:

„Moja droga do Szkoły Rolniczej i ze szkoły na wieś“

Redakcja „Wies“ przedłużyła do dnia 15 czerwca b. r.

Obok wypowiedzi uczniów Szkół Rolniczych prosimy starych działaczy i gospodarzy o wspomnienia o dawnych Szkołach Rolniczych.

Wies

zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym, wplacając należność na konto:

PKO Łódź VII — 1080, z naznaczeniem na odrocenie przekazu: „Prenumerata „Wsi“.

Należy czytelnie podać nazwisko i adres zamawiającego.

Należność za prenumeratę wraz z przesyłką wynosi:

miesięcznie 40 zł
kwartalnie 120 zł
półrocznie 240 zł

SPROSTAWANIE:

W ostatnim numerze wkraść się błąd do naszego komunikatu o zmianie adresu redakcji i administracji. Adres ten brzmi: **ŁÓDŹ I — skr. poczt. nr. 97.**

Komunikat

Zawiadamiamy, że z dniem 1 czerwca 1947 r. redakcja i administracja tyg. „Wies“ przeprowadziła się do nowego obszernego lokalu przy ul. Piotrkowskiej 133. Korespondencję prosimy kierować na adres:

ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 133
albo
Łódź I — skr. poczt. 97

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wies“, Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź, ul. Zwirki 2. D—017705